

LZOLDA ADAM FRANEK GUSTAW TADEUSZ

MARUSIA WALDEK BOGDAN DAMIAN GUCIO

ALEKSANDER BOLEK **P**IOTR ZUZIA MARTYNA

KAZIMIERZ ROMAN LESZEK DAMIAN PAWEŁ

TOLA KLAUDIUSZ IGOR ROMA **N**ATALIA

Jacek Ostrowski

IZOLDA ADAM FRANEK GUSTAW TADEUSZ

MARUSIA WALDEK BOGDAN DAMIAN GUCIO

ALEKSANDER BOLEK **P**IOTR ZUZIA MARTYNA

KAZIMIERZ ROMAN LESZEK DAMIAN PAWEŁ

TOLA KLAUDIUSZ IGOR ROMA **N**ATALIA

Jacek Ostrowski



Nowa Ruda 2006

Wszystkie osoby jak i zdarzenia opisane w tej książce są fikcyjne i jakakolwiek zbieżność nazwisk i wydarzeń jest przypadkowa

© Copyright MAMIKO Apolonia Maliszewska i Jacek Ostrowski

ISBN 83-60224-12-9

Wydawca:  Apolonia Maliszewska
ul. Piastów 5/1, 57-400 Nowa Ruda
www.mamiko.pl, biuro@mamiko.pl
tel. (0-74) 872 53 64; kom. 502 420 489

Skład komputerowy: Stanisław Mróz

Druk: Usługi Poligraficzne Bogdan Kokociński, Nowa Ruda

24 maja 2006 roku, Warszawa, potężny i ponury gmach IPN, czyli Instytut Pamięci Narodowej, lub jak mówią niektórzy Instrument Podlenia Narodu, godzina 13. Duży, ciemny korytarz na drugim piętrze, proste krzesła przy ścianach, a na czterech z nich siedzą panowie w większości w wieku ... no, powiedzmy podpadającym tej Instytucji. Siedzą jak na szpilkach, nerwowo przeglądają jakieś stare czasopisma udając wielkie zainteresowanie. Tak naprawdę to czekają na decyzję – co będzie z nimi dalej? Czy będą wrogami czwartej Rzeczypospolitej, czy tylko podejrzanymi typami dla nowej władzy? Na przyjaźń rządzących nie mają co liczyć, ponieważ mają tu swoje akta.

Pierwsze krzesło zajmuje pan w wieku około czterdziestu pięciu lat. Niewysoki z przerzedzoną czupryną w kolorze lekko rudawym, o chudej wybiedzanej twarzy i szczupłej sylwetce nerwowo przygląda się pozostałym. Staranny ubiór świadczy, o wysokiej pozycji społecznej... dyrektor, lub minimum kierownik w dużej firmie.

Drugie siedzisko okupuje łysy, grubawy osobnik, ubrany mimo wysokiej temperatury w czarny, gruby garnitur. Nerwowo drapie się po spoconym karku, jakby uwierał go kołnierzyk. Na 90 procent jest księdzem lub zakonikiem.

Trzeci z nich to z wyglądu taki typowy robociarz. Wielkie spracowane dłonie opiera na poręczach krzesła, nie patrzy na innych, nie wykonuje nerwowych ruchów, a jedynym objawem jego zdenierwowania są napięte żyły na rękach. Zamyślony i jakby odezwany od życia siedzi i czeka ... czeka na wyrok.

Czwarty skazaniec to wysoki facet, może trzydziestoletni, z gęstą czarną czupryną okalającą okrągłą twarz. Szlachetne rysy znamionują dobre wychowanie i jeszcze lepsze pochodzenie. Czym zajmuje się ten delikwent trudno zgadnąć, ale patrząc na jego dłonie, pracę fizyczną trzeba wykluczyć. Może własna firma, a może działalność twórcza?

Siedzą w milczeniu i wpatrują się w wielkie białe drzwi, za którymi bez ich udziału i bez udziału ich adwokatów urzędnicy

podejmują decyzje, które będą miały ogromny wpływ na ich przyszły byt lub niebyt. 17 lat po upadku Komuny, a duchy przeszłości powracają i depczą zarówno oprawców, jak i ich ofiary. Czterech mężczyzn z różnych środowisk uwikłanych w przeszłości w dziwne na pozór układy, ale tak naprawdę to cały naród ubabrany po łokcie w jednym wielkim gównie.

Oto historie – historie ludzi, którzy musieli żyć w tej narzuconej im odgórnie rzeczywistości. To Świat, który nie jest ani biały, ani też czarny i nie ten, który pokazują dziś w telewizji. Jakże pamięć ludzka jest zawodna, a może wybiórcza???

SYN PROMINENTA

Andrzej Anioł urodził się 1 kwietnia 1951 roku (w prima aprilis, ale jego życie niedużo miało wspólnego z żartem) w Kaliszu w rodzinie... nie robotniczej. Myślicie, że to nieważne w jakiej rodzinie się urodził, ale to nieprawda. Będąc dzieckiem lokalnych prominentów, ale wykształconych prominentów, był pozbawiony dodatkowych punktów na studia za robotnicze pochodzenie, co w rezultacie znaczyło podwyższoną poprzeczkę na egzaminach. Ojciec – komendant lokalnej milicji trzymał surową pieczę nie tylko nad lokalnymi bandziorami, ale i również nad swoim jedynym synem. Matka z zawodu dentystka leczyła zęby wszystkim, a w pierwszej kolejności co ważniejszym personom w mieście. Rodzinie Aniołów powodziło się jak na tamte czasy doskonale. Co trzy lata talon na nowy samochód, ciągłe wyjazdy do znanych kurortów, a raz na dwa lata wakacyjny wyjazd nad cieplejsze morze do jednego z zaprzyjaźnionych krajów z Demoludu, czyli „żyć nie umierać”. Andrzej uczył się miernie. No cóż, po prostu nie był ani pracowity, ani też wyjątkowo zdolny – zwykły przeciętniak. Ojciec bolał nad tym, ale wierzył, że w razie problemów Partia wyciągnie rękę w geście bratniej pomocy. Przez liceum młody Anioł przeszedł bez kłopotów. Matura sprawiła trochę problemów, ale zrobiono małe „czary mary” i zamieniono pracę z języka polskiego. Pytania ustne wylosował w domu dzień wcześniej i wkuł na pałę. Pomoc na egzaminie dojrzałości była formą wdzięczności dla seniora rodu za zajęcie odpowiedniego stanowiska podczas „Wydarzeń Marcowych”, gdyż każda Władza stara się dbać o swoich wyrobników.

Przyszła pora egzaminów na studia. Andrzej wybrał politechnikę. Postanowił zostać inżynierem, budować lokomotywy i statki dla swojej Socjalistycznej Ojczyzny. Obydwoje rodzice z przekonania prawdziwi komuniści przez całe dzieciństwo wpajali swojej latorośli miłość do teorii Marksa i Engelsa. Dla chłopca byli wyrocznią i żyjąc w dobrobycie nie miał podstaw by im nie wierzyć.

Pierwsze dni lipca były gorące dla rodziny Aniołów. Tata wykonał wiele kurtuazyjnych wizyt w Komitecie Wojewódzkim w Poznaniu, przypomniał się wielu kolegom w regionalnych władzach, a starania zaowocowały dodatkowymi punktami dla syna i cichą pomocą na egzaminach. Środowisko akademickie przetrzebione wiosennymi rozruchami wzmocnione zostało nową kadrami, a co najważniejsze bardziej uległa władzy. Sytuacja ta ułatwiła manipulację wynikami i „nadzieja” rodziny została studentem pierwszego roku.

Chłopak wziął się ostro do pracy i pierwszy rok pokonał w pierwszych podejściach, a rodzice byli dumni ze swojej latorośli. Młodzieniec zaangażował się w organizacji młodzieżowej i praca społeczna na rzecz uczelni pochłaniała cały jego wolny czas. Nawet nie zauważył jak jego osobą zainteresowały się służby specjalne, a przecież młody aktywista był idealnym materiałem na tajnego współpracownika. Był wszędzie, widział wszystko, rodzice dobrzy komuniści, poglądy chłopaka nie budziły zastrzeżeń. Wszystko pasowało, by młody Anioł mógł zostać dobrym kapusiem.

21 grudnia 1969 roku około południa do stojącego przed budynkiem „A” Andrzeja podszedł nieznany mu student.

– Ty jesteś Anioł? – usłyszał głos zza pleców.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą wysokiego, przeraźliwie chudego, rudawego blondyna ubranego w długą szarą jesionkę. Uśmiechał się do niego życzliwie, ale w jego wzroku było coś, co go zmroziło.

– Tak, to ja – kiwnął głową – a o co chodzi?!

– Mam dla Ciebie wiadomość – odparł tamten – masz zaraz iść do budynku „B” na drugie piętro do pokoju nr 24. Ktoś tam na ciebie czeka. Powodzenia! – odwrócił się i nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź szybko się oddalił.

– Co za czort? – mruknął Anioł i chcąc nie chcąc wolno udał się pod wskazany adres. Budynek „B” ogólnie znał dobrze, przez jeden semestr miał tam część zajęć i tylko drugiego piętra nie znał w ogóle, ale tam podobno mieściły się biura uczelni. Szedł

wolno korytarzem czytając numery pokoi, aż stanął przed drzwiami z małą tabliczką nr 24. Białe niczym nie wyróżniające się drzwi, a co za nimi?

Delikatnie zapukał, a po chwili usłyszał przytłumiony głos ze środka – Wejść!

Chwycił nerwowo klamkę, delikatnie pchnął i znalazł się w małym, prawie nie umeblowanym pokoiku. W samym centrum stało jakieś obłeńsze szare, podrapane biurko, a pod ścianą z lewej strony ustawiono mały regalik. Jeden jak i drugi mebel świecił pustkami. Przy pustym biurku siedział około 65-letni, niski, suchy i przygarbiony mężczyzna z dużym zakrzywionym nosem, siwymi przerzedzonymi włosami, z wyraźną łysinką z tyłu głowy i małymi bystrymi oczkami ukrytymi w głębokich oczodołach. Te oczka starały się teraz przewiercić go na wylot.

– Siadajcie Obywatelu – wskazał ręką obskurne krzesło. Młodzieniec ostrożnie usiadł na krawędzi, a gospodarz wyciągnął jakąś szarą teczkę z czarnej skórzanej torby i nie zważając na studenta zaczął ją wnikliwie studiować. Ciszę zakłócał jedynie szum przewracanych kartek, a nasz bohater rósł jak na drożdżach ze zde nerwowania.

– O co tu chodzi? Co to za facet i czego ode mnie chce? – same pytania kłębiły mu się pod czaszką.

Wreszcie po kilku minutach teczka zamknęła się z hukiem i mężczyzna znów zaczął prześwietlać Andrzeja swoim rentgenowskim wzrokiem.

– Co za nazwisko? – jęknął zde gustowany – w kraju dążącym do komunizmu powinni zabronić noszenia takich nazwisk. Macie szczęście, że Wasz ojciec to oddany sprawie Towarzysz, bo inaczej byśmy powiedzieli – albo zmienicie nazwisko, albo precz z uczelni. No, dobrze – westchnął i dodał pojednawczo – to przecież nie wasza wina. Słuchajcie no Aniol (jakoś Anioł nie przeszło mu przez gardło). Wiecie, studia trwają cztery lata i pełne są wielu niemiłych niespodzianek – wzrok mówcy zrobił się groźny – i nie każdy jest w stanie to pokonać. My potrzebujemy takich

jak Wy, czyli z dobrym partyjnym pochodzeniem, zdolnych i co najważniejsze lubianych przez innych. Wiemy, że Was bardzo lubią – wstał powoli i zaczął przechadzać się za plecami studenta. Mówił wolno, każde słowo ważył zanim powiedział – Nie chcemy oczywiście byście donosili na kolegów, czy koleżanki, ale wiecie, że wróg czuwa i czeka tylko na moment by wbić nóż w plecy naszej kochanej władzy. Nie możemy dopuścić by elementy wicherzycielskie zadomowiły się na uczelniach i rozpowszechniały zepsute idee. Chcemy tylko wiedzieć bez nazwisk, kiedy coś niedobrego się dzieje.

– Mam donosić na kolegów?! – Andrzej zerwał się z krzesła.

– Spokojnie – położył studentowi rękę na ramieniu zmuszając go, by usiadł z powrotem – nie, nie donosić, ale sygnalizować, że coś złego się dzieje. Przecież ojciec mówił ci, co wrogowie naszej Ojczyzny potrafią zrobić z umysłami, a młody wiek jest najbardziej podatny na takie głupoty. Przecież to dla dobra kraju. Czy uważasz, że chciałbym, by Twoim kolegom stała się krzywda? Oni nie zdają sobie sprawy z zagrożenia i łatwo wpadają w pułapki zastawione przez naszych wrogów. Ty rozumiesz dużo więcej od innych, bo wiedzę swoją wyssałeś z mlekiem matki, gdy inni nie mieli takich możliwości. Jesteś uprzywilejowany od dziecka i nawet podczas matury pomogliśmy Tobie w osiągnięciu sukcesu. Trzeba sobie pomagać – wtedy my Tobie – teraz Ty nam, takie jest życie.

Młody Anioł zaczął się łamać. Faktycznie zgadzał się z tym facetem i był skłonny pomóc, ale bez donosicielstwa, bo tym strasznie się brzydził. Nieraz miał do czynienia z oznakami wrogości w stosunku do swojej osoby od innych kolegów, a w szczególności tych, którzy wiedzieli kim był jego Ojciec. Pewnie mu zazdroszczą pochodzenia i super wakacji w Jugosławii.

– Mogę dać sygnał, ale tylko ogólnie – wydukał zdenerwowany – nie będę donosił na kolegów!

– W porządku! O to mi chodziło! – zadowolony rozmówca klepnął go po plecach, obszedł wokoło chłopaka i usiadł za biur-

kiem. Wyciągnął jakąś kartkę z teczki i położył przed nim. Z marynarki wyjął długopis i wcisnął mu w rękę.

– Podpisz! – wycedził – i możesz już iść.

– Co mam podpisać? – zdziwił się Andrzej – ja tylko obiecałem, że będę mówił jak coś się będzie działo.

– Jasne, ale musi być porządek i podpisz oświadczenie. Przecież obowiązuje nas umowa, a nie jakiś tam papier, to tylko dla moich szefów.

Wahając się, wolno złożył swój autograf na dokumencie. Ten dzień później przeklinał przez całe życie, ale o tym w dalszej części naszej opowieści.

Minął rok i Anioł zapomniał o całym zdarzeniu. Starał się jak mógł na studiach i przynosiło to naprawdę wymierne efekty. Odczuwał duże zadowolenie, gdyż dzięki własnej pracy i wytrwałości uwierzył, że może osiągnąć dużo bez koneksji tatusia czy mamusi. Zaczynał wierzyć w siebie, a to u jedynaków z promiennickich domów jest wielkim osiągnięciem. Nadszedł trzeci rok studiów i już na wejściu był to katastrofalny okres.

Najpierw na wiosnę nagle zmarł senior rodu, a po miesiącu ciężko zachorowała matka. Z dużego dobrobytu raptownie spadli do pogranicza nędzy. Mizerna renta ledwo wystarczała na życie, a studia zaczęły nadszarpywać wieloletnie oszczędności. Towarzysze, przyjaciele rodziny przestali być przyjaciółmi i obydwoje z matką zostali kompletnie sami. Matka w Kaliszu, a on w Poznaniu. W czerwcu tuż przed sesją znowu zaczął go ten sam chudy, rudy blondyn, co rok wcześniej. Dreszcz przeszedł mu przez ciało od stóp po czubek głowy.

– Cześć!- szepnął tamten do niego – masz iść tam gdzie wtedy, pokój nr 24 – i szybko zniknął w tłumie studentów.

Andrzej poczuł się nieswojo, czuł jakiś niepokój. Już zapomniał o tamtym dziwnym spotkaniu, a teraz wszystko odżyło. Coś mu mówiło, że to będzie przełom w jego życiu, ale nie wiedział, na czym on będzie polegał, co może się zmienić?

Wolno, nie spiesząc się dotarł do budynku B i wspiał się na drugie piętro. Wreszcie stanął przed drzwiami, które przez rok zmieniły kolor...teraz były brązowe. Po chwili delikatnie zapukał i tak jak wtedy usłyszał niski głos – Wejdz!

Nacisnął klamkę i znalazł się w środku. Wystrój nie zmienił się nic, a nic. Tak samo jak wtedy, puste ponure obdrapane meble i ten sam, jedynie o rok starszy facet. Ta sama czarna teczka i tylko doszła duża lampa na biurku. Wyglądała złowrogo, przypominała te gestapowskie z filmów o kapitanie Klosie.

– Siadaj! – gospodarz wskazał krzesło i sam usiadł naprzeciwko. Zmierzył przybyłego zimnym wzrokiem i wycedził przez zęby – Koniec dziecinady, masz mi przedstawić wszystko, co wiesz na temat koleżanki z grupy Anety Mrozek, jej kontakty, co mówi o władzy i z kim się przyjaźni.

– Co? – oczy Andrzeja zrobiły się jak dwa duże spodki – nie tak się umawialiśmy! – syknął przez zęby – powiedziałem, że nie będę kablował kolegów!

– Nie bądź dzieckiem! – zaśmiał się funkcjonariusz SB, mam papier i jeśli nie będziesz współpracować to my najpierw załatwimy Ciebie, a później nawet bez twojej pomocy załatwimy ją. My mamy swoje sposoby i już nawet twój tatuś Ci nie pomoże, bo Anioł jest już dosłownie aniołem! Ha, ha, ha! – jego ponury śmiech zmroził studenta.

– Przepchnęliśmy Cię przez prawie całe studia i teraz masz się nam odwdzięczyć! A jak nie, to żegnajcie studia i zaśpiewasz do mamuśki „przyjeżdż mammo na przysięgę”.

Bawił się świetnie w odróżnieniu od Andrzeja, któremu w tym momencie runął cały świat. Wszystkie ideały legły w gruzach, nawet nie oszczędzono jego trudu na uczelni. Zacisnął dłonie, sprężył się, nabrzmiały mu żyły na skroniach, pohamował się jednak.

– Nie! Nie będę kablował! – wybuchnął i zerwał się z krzesła – Nie ma mowy!!! Pan mnie oszukał!

– Spokojnie, masz dwa dni na przemyślenie wszystkiego. Lepiej jednak nie zadzieraj z nami – wzrok esbeka był zimny i bezlitosny.

– Nie! – ryknął Andrzej ze łzami w oczach, odstawił krzesło i nie zatrzymywany przez nikogo z impetem wybiegł z pokoju.

Po chwili stał przed budynkiem, wszystko wirowało mu przed oczyma, ciśnienie rozwalało mu głowę. Stał i nie wiedział gdzie jest, kim jest i gdzie ma iść. Wtem wszystko zaczęło oddalać się, wielka słabość ogarnęła jego organizm, stracił równowagę, zaczął osuwać się na ziemię i nagle... ktoś chwycił go za ramię i podtrzymał. Ocknął się i nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na swojego wybawcę, a była to nieduża, drobna dziewczyna, koleżanka z grupy... Aneta Mrozek.

– Ty tutaj? – wydusił – skąd się tu wzięłaś?

– Widziałam jak wychodzisz z budynku chwiejąc się na nogach, dlatego podbiegłam.

Podparła go ramieniem i szepnęła – Chodź lepiej gdzieś na ławkę, bo mi tu padniesz.

– Dobrze! – szepnęła wzruszony troskliwością koleżanki, której właściwie nie znał. Owszem, byli w jednej grupie, spotykali się już trzeci rok, ale tak naprawdę nie zamienili ze sobą nawet dwóch zdań. Dziewczyna, o której nigdy nie myślał, dziś w przeciągu pół godziny dwa razy wpłynęła na jego życie. Dwa razy i za każdym razem zupełnie inaczej.

Dotarli do ławki tuż obok budynku „A” i usiedli. Głęboko odychając próbował opanować samego siebie, dojść do ładu z własnym sobą, wyciszyć się na tyle, by móc normalnie rozmawiać. Kątem oka zerkał na dziewczynę i zastanawiał się, gdzie miał do tej pory oczy, że nie zwrócił na nią w ogóle uwagi. Owszem starała się nie rzucać w oczy delikatnym makijażem i skromnym odzieniem, ale twarz była powalająca! Delikatne szlachetne rysy, okrągłe idealnych rozmiarów policzki, wspaniałe długie rzęsy i bardzo ponętne usta. To był prawdziwy Kopciuszek tylko, że nie w bajce, ale w rzeczywistości w Polsce, w Poznaniu.

Powoli dochodził do siebie, zaczynał normalnie myśleć i wszystko zaczęło go od nowa przerażać. Zdał sobie sprawę, że to zdarzyło się naprawdę i musi sobie poradzić z tym problemem, ale nie wie jak.

– Jesteś chory? – zapytała.

– Nie – zaprzeczył energicznie – mam kłopoty... wpadłem jak śliwka w kompot, jestem ugotowany!!!

– Co się stało? – próbowała coś z niego wyciągnąć – działasz gdzieś nielegalnie?

– Ja? – zaśmiał się z ironią – ja!? Syn byłego pogromcy studentów miałbym gdzieś działać? Nie, raczej na odwrót!

– Nie rozumiem? – patrzyła zdziwiona – może będę mogła Ci pomóc, powiedz proszę!

– Nie! Nikt mi nie pomoże! – podniósł głos, raptownie wstał i nie rozglądając się pobiegł na oślep przed siebie. Musiał wyładować się, spalić nadmiar emocji, paść z wycieńczenia, upić się, skoczyć z mostu, czy też popełnić inne szaleństwo... Biegł, biegł i tak po pół godziny dobiegł do piwiarni na starym mieście. Zaszły się w kącie i pochłaniał piwo za piwem i picie nie byłoby chyba końca gdyby nie Aneta. Zajęła miejsce naprzeciwko Andrzeja i siedziała nie odzywając się w ogóle, tylko patrzyła.

– Jak mnie znalazłaś? – zdziwił się na jej widok – śledziłaś mnie? To chyba nie jesteś pierwsza, tu na pewno pełno jest szpicli, piszą na mnie donosy, by mi się do dupy dobrać!

– Uspokój się! – położyła swoją dłoń na jego ręce – proszę uspokój się, powiedz w końcu co stało się na uczelni?

– Nie mogę, nie chcę ciebie w to mieszać, bo i tak masz dużo własnych problemów – bąknął.

– Skąd o tym wiesz? – spojrzała zaskoczona na niego – skąd wiesz, że mam kłopoty?

– Właśnie dowiedziałem się o tym przed godziną, kazano mi ciebie śledzić i donosić, gdyż w przeciwnym wypadku usuną mnie z uczelni i wyślą w kamasze – jednym tchem wyrzucił z siebie.

– Co? – wydusiła zaskoczona, a gigantyczne zdumienie odmalowało się na jej twarzy – Masz donosić na mnie?

– Tak! Mam na ciebie donosić!!! – wyraźnie mu ulżyło. Spuścił wzrok i zanurzył usta w kolejnym kuflu.

– I co postanowiłeś? – wyszeptała uważnie patrząc mu prosto w oczy.

– Opuszczam uczelnię! – krzyknął prawie na całą knajpę i uderzył z impetem szklanym naczyniem w blat stołu – Nie dam im radochy z usunięcia mnie, ubiegnę ich ruchy!

– Naprawdę tak zrobisz? – głos zadrzał jej ze wzruszenia.

– Tak, mogą zabrać mi wykształcenie, trzy lata z życia wcielając do marynarki wojennej, ale nie zabiorą mi godności! – wielka determinacja była w jego słowach. – Nigdy! – wyszeptał z naciskiem.

– Imponujesz mi – Aneta wolno cedziła słowa starając się dobrać najbardziej odzwierciedlające jej stan ducha – zawsze mówili, że jesteś lewy, że szpiclujesz, że należy uważać na Ciebie. Widziano jak rozmawiałeś z największym szpiclem na „Polibudzie”. Ja w to nie wierzyłam, zawsze mówię, że należy złapać na gorącym uczynku, bo pozory nieraz są bardzo mylące. Cieszę się, że się nie pomyliłam. Mam jednak prośbę do Ciebie byś nie rezygnował. Zobaczmy do czego się posuną, może tylko straszą. Proszę! – głos jej nabrał ciepła, mocniej ścisnęła jego dłoń.

Andrzej jak tylko wyrzucił z siebie wszystko co go gryzło, to od razu wytrzeźwiał, jego myśli były spójne, napięcie opadło i zaczął racjonalnie mówić.

– Zgoda – odparł po chwili – ale jeśli będzie gorąco, odchodzę i teraz ja mam prośbę – zrobił przerwę – uważaj byśmy obydwój nie wylecieli, chociaż Ty skończ studia, ja już i tak jestem przypuszczalnie stracony.

– Nie mów tak, będzie dobrze, zobaczysz – dziewczyna próbowała go pocieszyć, ale sama czuła, że nie jest zbyt przekonująca w swoich słowach. Znała metody działania Służb Specjalnych i nie łudziła się, że zostawią chłopaka w spokoju.

Ponure gmaszysko Milicji i Służby Bezpieczeństwa, trzecie piętro, duży gabinet szefa wydziału zajmującego się inwigilacją środowiska akademickiego. Ponury pokój, ponure ciężkie meble, ponure portrety na ścianach i ponury oficer czytający jakieś dokumenty.

Gruby, niewysoki, może sześćdziesięcioletni łysy mężczyzna o bardzo pociągłej twarzy, gęstych siwych wąsach, dużych szarych oczach

i okrągłych drucianych okularach na nosie siedzi w fotelu pamiętającym jeszcze hitlerowskiego komendanta. Od niego zależy życie, a tym bardziej przyszłość całej braci studenckiej. W ręku trzyma akta niepokornego studenta Andrzeja Anioła, a właściwie według dokumentacji niepokornego agenta. Pamięta dobrze jego ojca, przecież kolegowali się wiele lat, razem kończyli Akademię w Moskwie, razem awansowali do stopnia pułkownika. Kupę lat, ale teraz to już przeszłość. Kolega zmarł i został jego syn, który, albo będzie z nami, albo przeciw nam, nie ma innego wyjścia.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i rozkazał – Niech przyjdzie Zabielski, natychmiast!

Nie minęły trzy minuty, a do gabinetu wsunął się ten sam mężczyzna, który odgrażał się Andrzejowi. Nie był jednak już taki groźny. Przypominał liska kręcącego się przy niedźwiedziu, usłużny i czujący duży respekt do swojego przełożonego.

– Kapitanie – szef zmierzył podkomendnego surowym wzrokiem – co jest z tym młodym Aniołem? Buntuje się? Przecież podpisał cyrograf, przecież napisaliście w raportach, że składał comiesięczne meldunki. Jak to było naprawdę?

– Podburzyli go wichrzyciele Towarzyszu pułkowniku, teraz siedzi w piwiarni z tą Mroźek i ona go przekabaca.

– Zabielski, nie kręćcie, znam Was od lat i wiem, że nieraz z nadgorliwości pisaliście raporty za agentów. Tyle razy was ostrzegałem, bo później nie wiem jaką przyjąć strategię by złamać opornych.

Kapitan spuścił głowę w akcie skruchy i bąknął – Ale to syn zasłużonego komunisty, myślałem że nie będzie kłopotu.

– Syn, nie syn, to nieważne, zawsze może wyrosnąć jakaś żmija i tu chyba mamy takiego gada – wstał i zaczął przechadzać się w zamysleniu po pokoju.

– Nikogo nie ma poza matką – wycedził przez zęby – i trzeba nasać chłopców na matkę. Niech ją pobiją, ale z wyczuciem.

– Ale Towarzyszu! – Zabielski patrzył na szefa zdumiony – przecież to nasza działaczka i do tego kaleka.

– No to co – pułkownik wyraźnie nie był zadowolony z wypowiedzi kapitana – kaleka jak stwierdziliście, czyli już bezużyteczna i prze-

cież nie mówię, że macie ją zabić, macie ją tylko trochę poturbować, by synuś zaczął się nas bać.

– To może jego poturbować? – wyraźnie podwładnemu nie spodobał się pomysł szefa.

– Nie, jego to w ostateczności – głos pułkownika nabrał mocy – tak, macie to zorganizować i to jak najszybciej! Niech wie z kim zadarł, od nas się nie odchodzi, my najwyżej sami zwalniamy. Wykonać!

– Tak jest! – kapitan zasalutował, odwrócił się na pięcie i opuścił gabinet.

Minęły dwa dni, a cisza i spokój wokół Andrzeja budziły tylko jego niepokój. Coś jakby się czało, tylko nie było wiadomo, kiedy i jak wróg uderzy. Obydwoje z Anetą wiedzieli, że SB nie opuści i obydwójce starali się trzymać zawsze razem. Koledzy w grupie patrzyli z ciekawym wzrokiem na tę dziwną parę, ale oni tym zbytnio się nie przejmowali.

Przez te dwa strasznie długie dni chłopak zobaczył zupełnie inny obraz Polski. Do tej pory żył w tzw. błogiej nieświadomości, w sztucznym świecie stworzonym i opisanym mu przez jego rodziców. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna i niestety nie tak słodka jak w opowieściach ojca czy matki.

12 czerwca o 6 rano obudził go właściciel stacji, w której mieszkał. Mocne szarpnięcie za ramię postawiło go na nogi i do brze, bo sny od kilku dni miał co najmniej koszarne.

– Telegram do Ciebie – burknął i wcisnął mu w rękę zwitek papieru.

– Telegram? – wyszeptał zaskoczony i przecierając nerwowo oczy rozłożył kartkę. Wiadomość była piorunująca. W jednym momencie wstał i wolno nie wierząc własnym oczom pochłaniał jego zawartość.

– Chuligani napadli Twoją matkę. Stop. Jest w szpitalu. Stop. Przyjedź jak najszybciej. Stop. – taka była jego treść.

– Jacy chuligani? – zdziwił się – moja mama prawie nie wychodzi z domu – i nagle dotarło do niego kto tak naprawdę ją pobił. Zdrętwiał z przerażenia i wściekłości.

– Dranie! – syknął przez zaciśnięte zęby, a ogarniająca go rozpacz i poczucie bezsilności ścisnęły gardło. Błyskawicznie ubrał się i pobiegł na dworzec. Miał szczęście w nieszczęściu, bo już po półgodzinie siedział w pociągu jadącym do Kalisza. Zaczęła ogarniać go psychoza zaszczucia i co chwila sprawdzał, czy nie jest śledzony.

– To obłąd! – myślał. – Jak daleko mogą się posunąć? Przecież matka całe życie była aktywistką, ojciec walczył z I Armią a później całe swoje życie poświęcił Partii. Nikt z nich nigdy nic nie powiedział przeciwko Władzy, nikt nigdy nie usłyszał od niego żadnego kawału politycznego. Przecież to, co się dzieje jest chore, przecież on tylko nie chciał donosić na kolegów!

Po dwóch godzinach dotarł do Kalisza, wyskoczył z pociągu i biegiem wypadł z dworca, złapał pierwszą dorożkę i pojechał do szpitala. Jeszcze koń nie zdążył zatrzymać się przed budynkiem, a już wyskoczył z „sieczkowozu” i wszedł szybko na drugie piętro, na chirurgię. Odrzucając zatrzymujące go pielęgniarki, biegł od sali do sali szukając tak bliskiej mu twarzy. Wreszcie w ostatniej chyba dziesięcioosobowej zobaczył swoją mamę. Leżała na łóżku pod ścianą, blada z olbrzymim bandażem na głowie, oczy zapadnięte, a wzrok skierowany w sufit.

– Jestem mamó – szepnął nachylając się nad ranną, całując ją w czoło.

– Jesteś – wydusiła z trudem i wielki uśmiech rozkwitł na jej umęczonej twarzy – martwiłam się synu, bałam się o ciebie, ci bandyci coś mówili o tobie, że to za ciebie. Nie rozumiem co oni chcą od ciebie?

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – próbował pocieszać, ale stan, w jakim ją zastał bardzo go niepokoił – już pewnie milicja złapała drani!

– Teraz wypoczywaj, a ja pójdę do lekarza – znów ją pocałował i poszedł szukać kogoś, u kogo mógłby zasięgnąć opinii na temat jej zdrowia.

Był poranny obchód i musiał chwilę poczekać. Wreszcie jeden z lekarzy znalazł trochę czasu, a to co usłyszał zadziało na niego jak młot hydrauliczny.

– Pacjentka ma pęknięcie podstawy czaszki i rozległy krwiak mózgu, rokowania kiepskie, proszę się przygotować na najgorsze – to były słowa, które wstrząsnęły młodym Aniołem.

– Co można zrobić? – wyszeptał przerażony.

– Nic, czekać, tylko czekać i modlić się – odparł doktor rozkładając ręce w geście bezradności.

– Modlić się? – zdziwił się Andrzej. – Ja nie umiem się modlić, ja jestem niewierzący.

– A może trzeba zacząć? – odburknął tamten, zakręcił się na pięcie i odszedł.

Dobity tymi informacjami wolno poczłapał do mamy. Usiadł przy jej łóżku i z rozpaczą patrzył na ostatnią osobę, którą kochał, a która teraz go opuszczała. Ona wiedziała, że odchodzi... kurczowo trzymała go za rękę jakby starając się nie dopuścić do rozstania.

– Synu, czy wszystko u ciebie w porządku? Boję się o Ciebie – wyszeptała. Głos jej wyraźnie słabł, gasła.

Oczy mu zmętniały, ręce drżały, paniczny lęk przed utratą matki ogarniał jego duszę.

– Wszystko jest tak jak trzeba mamó – szepnął jej w ucho delikatnie głaszcząc ją po zlepionych od krwi włosach – wszystko jest dobrze... Ty wyzdrowiejesz.

– Nie synu, to już koniec. Czuję, że odchodzę. Ale to jest straszne, że nie wiem dokąd? Wierzący mają swoje niebo, a my jesteśmy obdarci ze wszystkiego, po śmierci mamy nicość.

– Na pewno też pójdziesz do jakiegoś nieba, przecież jesteś dobrą kobietą, nie zapadniesz się w nicość, tam miejsce dla tych co Cię skrzywdzili – syknął przez zęby.

– Prześpij się teraz, a ja niedługo wrócę- poprawił kołdrę, wstał i wolno opuścił salę.

Wyszedł z budynku i teraz dopiero zauważył, że jest piękny wiosenny dzień, słońce przygrzewa milutko chyba pierwszy raz od miesiąca. Rozejrzał się wokoło i wzrok jego zahaczył o dzwonicę pobliskiego kościoła. Wolno, jakby z wahaniem skierował się w tym kierunku. Nie patrzył czy go ktoś śledzi, zobojętniały na wszystko postanowił pierwszy raz w życiu zajrzeć do świątyni. Stał przed drzwiami i ogarnęły go wątpliwości, czy aby na pewno tego chce, czy to słuszny krok. Całe życie wpajano mu niechęć do wiary i teraz po tylu różnych przeżyciach stoi o krok od kościoła.

– Nie bój się synu – usłyszał zza pleców.

Odwrócił się jakby wystraszony i ujrzał niedużego, zasuszonego starszego mężczyznę z gęstą siwą czupryną ubranego w czarną sutannę. Stał w odległości może trzech metrów za nim i przyglądał się mu wnikliwie.

– Nie boję się – odparł Anioł – tylko nie wiem, czy to ma sens?

– Przekonaj się – kapłan uśmiechnął się dobrodusznie – nikt Ci tu nie zrobi krzywdy, to dom Pana.

– Proszę Pana, ja jestem niewierzący, ja jestem tu z ciekawości.

– Nie szkodzi, dom ten jest otwarty i dla niewierzących, wejdź proszę – ksiądz wskazał otwarte drzwi.

Andrzej wolno jakby z przestachem przekraczał próg świątyni i po chwili zniknął w środku. Stał teraz we wnętrzu rozglądając się wokoło. Piękne stare wnętrze, wspaniałe freski, półmrok i niesamowita cisza robiły wrażenie.

– Pięknie – szepnął z przejęciem.

– Tak, piękne, ale nie patrz na to jakbyś zwiedzał muzeum gdzieś daleko na drugim końcu świata, bo to przecież nasza historia, to budowali nasi dziadowie i pradziadowie, tu chrztem zaczynali życie i tu ich zegnaliśmy kiedy zachodziło słońce ich żywota. To jest nasza tożsamość narodowa, czy tego chcesz, czy nie.

– A Bóg? – szepnął.

– Bóg jest wszędzie, w kościele i poza nim, na statku, w samolocie, w domu i w szpitalu.

– Kościół to tradycja, a Bóg to wiara synu.

– Nie rozumiem tego wszystkiego.

– Jak możesz rozumieć, kiedy tego nie znasz – wyszeptał duchowny. – Wiem kim jesteś, wiem kim był Twój ojciec i tym cenniejszy jest twój krok. Wiem też dlaczego tu jesteś. Wiem, bo byłem w szpitalu i widziałem twoją mamę. Współczuję Ci i modłę się za nią, ale nic więcej nie możemy zrobić, jej los jest w rękach Boga.

– Przecież jest niewierząca – zdziwił się Andrzej.

– On czuwa nad wszystkimi. I tymi co wierzą i tymi, którzy nie dostąpili łaski wiary.

– Dzięki Ci – rozradowany Anioł pocałował zaskoczonego księdza w policzek i wybiegł na zewnątrz. Ulżyło mu, już był spokojny o swoją mamę.

W drzwiach zderzył się z Anetą.

– A co Ty tu robisz? – wydusił zaskoczony i jednocześnie bardzo zadowolony.

– Szukałam Ciebie i od Twojego gospodarza dowiedziałem się o telegramie. Chciałam być przy Tobie w takim trudnym momencie – smutny uśmiech zaistniał na jej twarzy.

– Dzięki! – szepnęła wzruszony, objął ją ramieniem i skierowali się do szpitala.

– Jak sytuacja? – spytała po drodze.

– Kiepsko, właściwie stan beznadziejny... Moi „przyjaciele” skatowali ją na śmierć. Bandyci!

– Przykro mi – szepnęła – gdyby nie ja, to wszystko jakoś by się ułożyło.

– Bzdura – zachnął się – jeśli nie Ciebie, to znaleźliby inną osobę. A tak to chociaż jest mi przyjemniej w tej ponurej sytuacji.

W szpitalu niestety czekały złe wieści – mama nie żyła!

W dwa dni później Andrzej pochował ją na miejscowym cmentarzu i o zgrozo tylko on i Aneta szli w kondukcje. Nikt z dawnych znajomych, ani nikt z dalszej rodziny nie oddał hołdu zmarłej.

W tym samym czasie w gmachu SB wrzało. Leciały głowy za akcję w Kaliszu, w efekcie której zmarła Aniołowa. Pułkownik nie lubił, kiedy podwładni partaczyli robotę.

– Przecież teraz nie skłonimy go do współpracy, wszystko zepsuliście! – darł się na swoich zastępców.- Mówiłem delikatnie, bo to kaleka!

– Przewróciła się na schodach – próbował bronić kolegów Zabielski.

– Gówno się przewróciła, zatlukliście ją na śmierć! – szef ryczał jak opętany – Wyśle was do karnych kompanii, zdegraduję, wyrzucę na pysk!

– Ty! – stanął przed kapitanem cały czerwony od złości, z nabrzmiałymi żyłami na skroniach i grożąc mu palcem – Ty odpowiadasz za to, żeby go złamać i wybieraj – tu głos zabrzmiał groźnie – albo on, albo ty! Masz na to tydzień.

– Czy mam wolną rękę? – wydusił przerażony podkomendny.

– Tak, ale drugi raz nie spartacz, nie zabij go!

– Tak jest towarzyszu pułkowniku, czy mogę się odmeldować?

– A idź do diabła – szef jęknął zrezygnowany i usiadł w swoim fotelu.

Andrzej tuż po pogrzebie wrócił do Poznania. Aneta cały czas była z nim, podtrzymywała go na duchu i był jej za to bardzo wdzięczny. Nie miał już nikogo bliskiego i ona stanowiła jedyne oparcie dla mocno zagubionego chłopaka. Wprawdzie była sesja, ale cała ta tragiczna sytuacja wydarzyła się w luce między egzaminami, a więc nic nie stracili i wszystko wskazywało na to, że Służba Bezpieczeństwa dała mu spokój.

23 czerwca tuż przed najgorszym egzaminem chłopak został wezwany do dziekanatu. Zdenerwowany czując coś niedobrego zameldował się u sekretarki, która zmierzyła go bardzo nieprzychylnym spojrzeniem i kazała czekać. Siedział na krześle i czekał. Trwało to może godzinę, kiedy nagle odezwał się telefon.

– Tak, już, rozumiem – odparła do słuchawki.

– Wejdz, dziekan czeka na Ciebie! – Wskazała ciężkie drzwi w głębi pokoju.

Wstał i niepewnym krokiem wkroczył do gabinetu profesora Jabłczyńskiego.

Pierwszy raz przekroczył próg jego królestwa i był zdziwiony pięknym starodawnym wystrojem wnętrza. Przedwojenne meble, piękne obrazy na ścianach i mnóstwo różnych dyplomów w ciemnych stonowanych ramach. Dziekan siedział w głębi pomieszczenia przy dużym ciężkim dębowym biurku. Może pięćdziesięcioletni, wysoki i bardzo chudy, trochę przygarbiony mężczyzna o wyrazistych, wysuniętych kościach policzkowych, tak charakterystycznych dla ludzi ze wschodu. Zza grubych rogowych oprawek okularów przyglądał się wnikliwie studentowi. Spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

– Usiądź proszę – wskazał fotel naprzeciw jego biurka. Andrzej delikatnie usiadł na rogu mebla i ze zdenerwowaniem oczekiwiał na rozwój wypadków. Czuł, że coś jest nie tak, w końcu niecodziennie studenci są tu na dywaniku.

Profesor siedział i nerwowo obracał ołówek w ręku co chwilę zerkając na Andrzeja. Wreszcie wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie. Był naprawdę zdenerwowany. Wreszcie usiadł z powrotem i zaczął swój wywód.

– Doszły do mnie słuchy, że buntujesz kolegów i rozprawiasz wywrotowe wydawnictwa.

Chłopak dosłownie osłupiał – a jednak zaczyna się – mruknął pod nosem – nie odpuszczaj mi łobuzy!

– Mam skargi – kontynuował dziekan – że utrudniasz innym studentom naukę i proszono mnie bym zajął się tym problemem. Władza ludowa nie będzie finansować nauki elementom wywrotowym i jestem zmuszony usunąć Ciebie z uczelni.

– Pan w to wierzy? – Anioł spojrział badawczo na swojego rozmówcę. Ten zmieszał się, spuścił wzrok, a następnie patrząc gdzieś w bok odparł – nie mam wyboru, muszę w to wierzyć.

– Rozumiem – zdenerwowany chłopak wstał z fotela i odwrócił się na pięcie. Kiedy wychodził splunął przez lewe ramię w ge-

ście pogardy i z impetem trzasnął drzwiami. Kątem oka zobaczył wzburzenie na twarzy sekretarki, ale nie odezwała się.

Przed budynkiem czekała na niego Aneta.

– No i? – spytała – Czego chciał?

– Wyrzucił mnie z uczelni! – jęknął zrozpaczony. – Wszystko na nic.

– O mój Boże – dziewczyna strasznie przejęła się – i co dalej?

– Teraz będą chcieli mnie złapać do wojska – syknął przez zęby – ale ja nie pójdę do tej ich zasranej armii, nigdy w życiu!

– To co zrobisz? – spytała z przejęciem. – Nie rób jakichś głupot, proszę!

– Spokojnie, mam pomysł – miał pomysł i postanowił go wprowadzić w życie, decyzja była już podjęta.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze – przytulił ją mocno do siebie – dzięki, że jesteś ze mną. Ciężko byłoby mi samemu, ale teraz musimy dla twojego dobra rozstać się na jakiś czas.

– Dlaczego? – dziewczyna starała się protestować. – Chcę być z Tobą, potrzebujesz mnie! – I dodała po chwili rumieniąc się – i ja Ciebie bardzo potrzebuję.

– Wiem – ścisnął ją mocniej – ale jak zobaczą, że zależy mi na Tobie to i Ciebie zgnoją by mi dokopać. Skończ studia i jeśli będziesz wtedy chciała być ze mną to mnie znajdziesz. Ja postaram się jakoś ustawić, przeczekać, sam nie wiem, co wymyślę, ale teraz muszę wywinąć się od wojska. Zgoda? – spojrzał na nią błagalnie i wyciągnął rękę. Aneta zawahała się, wiedziała jednak, że to rozsądne rozwiązanie, chociaż bardzo, bardzo smutne.

– Zgoda! – podała mu swoją dłoń – ale daj słowo, że będziesz dawał znać co się z Tobą dzieje.

– Słowo!

Jeszcze tego samego dnia Andrzej spakował walizy i udał się na dworzec, a kiedy czekał na tramwaj, z piskiem opon pod przystanek zajechała czarna wołga, z której wyskoczyło dwóch smutnych panów w czarnych skórzanych płaszczach.

Podeszli do chłopaka i jeden z nich poprosił go o dowód. Nerwowo sięgnął po dokument czując jakąś prowokację. Podał małą zieloną książeczkę a tamten wnikliwie zaczął ją studiować.

– Hm, – odezwał się po chwili – coś mi tu nie gra. Obywatel pójdzcie z nami, musimy wszystko wyjaśnić.

– Co nie gra? – zaczął się denerwować – przecież to mój dowód! Śpieszę się na pociąg.

– Pociągów jest dużo, a teraz proszę z nami – odparł stanowczo jeden z funkcjonariuszy i wskazał otwarte drzwi do samochodu. Nie było wyjścia, wsiadł i za chwilę ruszyli z piskiem opon w kierunku komendy. Kiedy dotarli na miejsce, wprowadzono go do piwnicy, do sali przesłuchań.

Małe ponure pomieszczenie, pozbawione mebli, tylko puste biurko pośrodku i dwa krzesła. Usiadł na jednym z nich i czekał. Czekał i czekał, a tu nic. Słyszał, że to jedna z metod na skruszenie więźnia, ale nie z nim te numery, za dużo wyrządzili mu krzywd, praktycznie zniszczyli go, zostały mu tylko resztki godności. Siedział i dłubał w paznokciach, miał czas. Po jakiś dwóch godzinach otworzyły się drzwi i wszedł poznany na uczelni funkcjonariusz.

Usiadł naprzeciwko i wyjął ze swojej czarnej teczki jakieś dokumenty.

Tym razem nie czytał ich tylko od razu przeszedł do ataku.

– No i spotykamy się! – burknął jakby od niechcenia – mówiłem, że z nami nie ma żartów.

– Mordercy – Andrzej syknął przez zęby mierząc rozmówcę nienawistnym wzrokiem. Gdyby spojrzenie mogło zabijać to tamten już by nie żył.

– Tylko nie mordercy! Uważaj, co mówisz – ryknął na niego Zabielski – my tylko ucinamy łeb hydrze zanim odrośnie. Ktoś musi dbać o naszą Socjalistyczną Ojczyznę, a takich jak Ty wywrotowców to będziemy zamykać w obozach pracy lub likwidować.

– Moja mama nie była żadnym wywrotowcem – krzyknął chłopak. Krew burzyła się w nim, ale pohamował się. Pamiętał jak Aneta ciągle mu powtarzała, by nie dał się sprowokować.

– Twoja matka to wypadek przy pracy i gdybyś był posłuszny to ona by żyła, a Ty dalej kontynuowałbyś studia. Teraz zostało Ci tylko wojsko, marynarka wojenna i załatwię Ci łódź podwodną. A wiesz dlaczego? – zrobił chwilę przerwy – bo one nie zawsze wypływają na powierzchnię. Dostaniesz taki wycisk, że przyjdiesz tu na kolanach prosić o łaskę, a jeśli to nie pomoże, to wyślemy Ciebie kochasiu do kompanii karnej, zobaczysz, co to znaczy za-
drzeć z Władzą Ludową.

– Chyba, że?

– Co chyba?! – warknął Anioł.

– Jeszcze możemy wszystko odwrócić – napiszesz przeprosiny, ugniesz się i będziesz nam wiernie służył. Możemy załatwić przyjęcie na studia, jakieś dobre stypendium, kariera będzie stała przed Tobą otworem. Zastanów się.

– Odwrócić? Przywrócić życie mojej mamie?

– No, nie – Zabielski zmieszał się – tego niestety nie potrafi-
my, ale inne sprawy to tak.

– Nigdy! – chłopak wolno wycedził przez zęby – nigdy!

– No cóż, sam wybrałeś – funkcjonariusz rozłożył ręce w ge-
ście rezygnacji – możesz iść i czekać na miły liścik.

– Mogę iść? – zdziwił się.

– Tak, a co myślałeś, że skatujemy tu Ciebie byś został mę-
czennikiem dla tamtych? O nie! My załatwimy to w rękawicz-
kach. Wynocha! – ryknął.

Andrzej wstał z krzesła i ostrożnie podszedł do drzwi, które otworzyły się natychmiast. Jeden z tych, którzy go tu przywieźli teraz poprowadził go do wyjścia. Po chwili stał już na ulicy, a walizki z łoskotem wylądowały u jego nóg. Czuł się wolny i mógł przeprowadzić swój plan, zrobi w konia tych bydlaków. Wolno z bagażem doczłapał się do dworca i wieczornym pociągiem po-
jechał do Kalisza. Około północy dotarł do rodzinnego mieszka-
nia i pierwszy raz nikt go tu nie oczekiwał, smutne odczucie.

Nie zwlekał z planem bojąc się, że ktoś mu w tym przeszkodzi. Wyciągnął butelkę wódki i pokonując wrodzony wstręt do moc-
nych trunków pił, pił, aż pokazało się dno.

– Jak można się od tego uzależnić? – zastanawiał się wchłaniając z obrzydzeniem napój od wściekłej krowy.

– To wystarczy – był nieźle wstawiony. Chwiejąc się poszedł do kuchni i zaczął szukać deski do krojenia mięsa. Ledwo trzymał się na nogach, garnki wypadały z szafek, łoskot był niesamowity. Przypuszczalnie obudził całą kamienicę, ale tym nie przejmował się wcale, miał to w nosie. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Położył deskę na stole w pokoju i rozpoczął polowanie na tasak. Bez skrupułów wyciągał całe szuflady sztućców i wysypywał na podłogę, nogami rozgarniał wszystko, aż wreszcie znalazł tasak.

– No, teraz załatwię tych palantów – krzyknął z pasją i z tasakiem w dłoni poszedł do pokoju. Usiadł przy stole wyciągnął prawą rękę i położył wskazujący palec na desce. Siedział chwilę i wahał się, to była odważna decyzja, postanowił okaleczyć się, czuł, że będzie bardzo nieprzyjemnie, a nie był odporny na ból. Nagle odżyły wspomnienia, mama, studia i wszystkie ostatnie przejścia, adrenalina zaczęła kipieć w jego organizmie, bezsilna złość i rozpacz zaczęły ogarniać jego duszę, sama ręka z tasakiem uniosła się w górę, błysnęło ostrze i z impetem spadło w dół.

– Precz z komuną! – krzyknął i z całej siły uderzył. Okropny ból rozdarł jego ciało, krew trysnęła z potwornej rany, palec oddzielił się od dłoni. Chwytał przygotowany wcześniej bandaż i spróbował opatrzyć ranę – niestety było coraz więcej krwi, nie mógł opanować krwawienia.

O paradoksie życiowy, ale uratowali go milicjanci wezwani przez rozbudzonych sąsiadów. Widząc pokiereszowanego faceta wezwali karetkę, która odwiozła go natychmiast do szpitala i tam go opatrzyli.

Następnego dnia w południe pułkownik wezwał Zabielskiego na dywanik.

Kapitan czuł, że sprawa wymknęła się spod kontroli i zwierzchnik jest mocno wkurzony.

– *No i co – ryknął stojąc mu nad uchem. Taki gówniarz i zrobił was w konia. Tak, Was doświadczonego funkcjonariusza załatwił jak gówniarza!*

– *Nie rozumiem Towarzyszu?*

– *Czego nie rozumiecie? – szef dostał ataku furii, podszedł do podwładnego i wściekłym wzrokiem patrzył mu prosto w oczy.*

– *Czego nie rozumiecie? Obciął sobie palec i nie ma podstaw by wcielić go do Armii. Zrobił was w trąbę! Powiedziałem kiedyś, że albo on, albo Wy.*

– *Ależ Towarzyszu pułkowniku – kapitan próbował ratować swoją skórę – możemy wsadzić go do więzienia za umyślne okaleczenie w celu uniknięcia zaszczytnej służby wojskowej.*

– *Dość!! Dość, kretynie! – pułkownik wydarł się na pół gmachu – Ta sprawa jest zamknięta, i tak go zniszczyliśmy. Nigdy nic nie osiągnie, a zmory przeszłości będą go ścigać przez całe życie. Teczkę Anioła zanieście do archiwum i zapomnijcie o całej sprawie. I jeszcze jedno, dopiszcie mu w aktach jedno znamienne zdanie „wróg Władzy Ludowej” tak na wszelki wypadek, a teraz wykonać!*

– *Tak jest Towarzyszu pułkowniku – Zabielski zasalutował, obrócił się na pięcie i energicznym krokiem wyszedł z gabinetu. Szef zaś zrezygnowany doczłapał do swojego fotela, usiadł, objął głowę rękoma i szeptał jak nakręcony – Z kim ja muszę pracować? Przecież to sami idioci!*

Lato 1972 roku było wyjątkowo suche i upalne. Większość ludzi wypoczywała nad morzem, a tylko nieliczni udawali się na górskie wędrowki. Bieszczady kusiły swoją urodą turystów, ale jednocześnie odstraszały dzikością. Opowieści o niebezpiecznych wilkach i niedźwiedziach robiły swoje i mało kto decydował się penetrować dzikie ostępy. Jednak raz po raz na szlakach można było spotkać amatorów natury. 11 lipca z Leska wyszła grupa młodych ludzi, adeptów Politechniki Poznańskiej. W czerwcu bronili się i teraz postanowili wspólnie spędzić ostatnie studenc-

kie wakacje. Zamierzali przejść całą pętlę bieszczadzką nocując po wsiach i awaryjnie w namiotach.

Była wśród nich Aneta Mrozek, którą szarpały na tej wyprawie bardzo mieszane uczucia. Ostatnie dwa lata były dla niej jednym wielkim horrorem, oczekiwaniem, szukaniem i tęsknotą. Właśnie tyle czasu nie miała żadnego sygnału od Andrzeja, wszelki ślad po nim zagaął. Ani w Kaliszu, ani też w Poznaniu nie natrafiła na jakąkolwiek wskazówkę na jego temat. Ludzie, albo nie wiedzieli, albo też nie chcieli nic mówić. Cały czas była niespokojna, słyszała o krwawej jatce w jego mieszkaniu, ale nie знаła szczegółów. Jedna wielka zмова milczenia na temat Andrzeja Anioła.

Mimo, że starała się radośnie wypoczywać tak jak pozostali uczestnicy wyprawy, to jednak widok każdego podobnego chociaż trochę do Andrzeja chłopaka przywoływał jakże bolesne wspomnienia.

Czwartego dnia górskiej tułaczki spotkali grupę wypalaczy drewna. Stosując ciekawe sposoby zamieniali drewno w bardzo poszukiwany węgiel drzewny. Ich ciężka praca wzbudzała podziw i szacunek. Ludzie Ci widząc zainteresowanie turystów zaprosili ich do wspólnego ogniska. Siedzieli długo opowiadając różne ciekawe historie związane z regionem, jak i ze swoimi pogmatwanymi losami. Aneta przysłuchiwała się temu z dużym zdumieniem. Na pozór prości ludzie okazali się grupą ciekawych osobowości. Byli wśród nich byli żołnierze armii Andersa, jeden był Niemcem, inny Ukraińcem. Dużo przeszli w swoim życiu i dopiero tu czuli się wolni. Nikt ich nie śledził, nikt na nich nie kapował, wstawali kiedy chcieli i robili co chcieli. Zepchnięci na margines i będący na marginesie z własnego wyboru byli poza zainteresowaniem służb bezpieczeństwa i urzędów. Ci ludzie wiedzieli, co to jest wolność.

– Cieszymy się tu z każdych odwiedzin – zapewniał młodych szef wypalaczy – my, mimo że jesteśmy poza społeczeństwem tęsknimy nieraz za tym, co straciliśmy. Zresztą my przeżyliśmy już

swoje, ale są tu tacy którzy musieli tu zbiec już jako młodzi ludzie, oni nie zdążyli zasmakować niczego.

– Nie widać tu nikogo aż tak młodego – wtrąciła zaciekawiona Magda Kolańska, najbliższa koleżanka Anety.

– Tak, teraz nie ma, ale niedługo pojawi się nasz kolega Andrzej. Rano poszedł do miasteczka i pewnie zaraz tu będzie.

Przez całe ciało Anety przeszedł jakiś dziwny dreszcz.

– Jaki Andrzej? Jak się nazywa? – wykrzyknęła, czym wzbudziła duże zdziwienie wszystkich.

– Nie wiem jak się nazywa, my tu nie mamy nazwisk – odparł speszony jej reakcją wypalacz.

– Dawno tu przybył? – Aneta drążyła temat.

– Jakieś dwa lata temu, był w tak strasznym stanie psychicznym, że przez pewien czas baliśmy się, by sobie nie odebrał życia i dyskretnie obserwowaliśmy każdy jego krok. Nie wiem, co przeszedł i się o to nie pytam. Jak będzie kiedyś chciał powiedzieć, to go wysłuchamy, bo my tu z zasady nie zadajemy pytań.

– Przepraszam – speszona dziewczyna zrozumiała podtekst ostatniego zdania – ale ja kogoś szukam od dwóch lat i już straciłam nadzieję, a Pan wymienił imię, które mi się z nim kojarzy.

– Rozumiem, nie wiem czy to jest akurat ten Andrzej czy nie, ale musi Pani pamiętać, że ścieżki ludzkiego losu są niezbadane i jeśli będzie wam dane spotkać się, to na pewno się spotkacie. O, zresztą już słyszę jak nasze psy piszczą, to nasz chłopak wraca.

Faktycznie zwierzęta wyczuły kogoś znajomego, zaczęły nerwowo skomleć i szarpać się na sznurkach w kierunku pobliskiego lasu.

Aneta zdrętwiała w oczekiwaniu, czuła podświadomie, że to może być On, bała się jednocześnie, że znów przeżyje wielkie rozczarowanie. Z mroku wynurzył się mężczyzna postury Andrzeja, szedł wolno obciążony jakimiś pakunkami. Zobaczywszy dużą gromadę przy ognisku chwilę jakby zawahał się, zwolnił, ale podszedł. W świetle płomieni ujrzała jakże jej bliską, jakże upragnioną osobę. Wyglądał bardzo mizernie, kilkudniowy zarost,

zapadłe oczy, a na obliczu jakiś dziwny smutek. Beznamiętnym wzrokiem omiótł towarzystwo, kiedy nagle wzrok mu zabłysł, przez twarz przebiegł jakiś dziwny skurcz. Spoglądał na dziewczynę i czuł jak oczy mu wilgotnieją, czuł strużkę łez płynącą po policzkach, płakał ze wzruszenia, radości pierwszej od tylu lat. Obydwoje zapatrzeni w siebie zapomnieli o całym otaczającym ich świecie. Stali i nie wierzyli własnemu szczęściu, a jednak ścieżki ludzkiego losu są niezbadane.

Andrzej i Aneta już nigdy nie rozstali się. Ona została nauczycielką w jednym z bieszczadzskich miasteczek, a mąż jej (wzięli ślub kościelny!) kupił za zaoszczędzone pieniądze gospodarstwo i zajął się hodowlą. Po kilku latach, kiedy sytuacja polityczna trochę zmieniła się na korzyść, wrócił na uczelnię i dokończył studia, tyle, że w trybie zaocznym. Jednak mimo dyplomu nie udało mu się zdobyć jakiegś pracy w państwowej firmie. Cały czas w jego aktach widniała uwaga „wróg Władzy Ludowej”. To jedno zdanie wszędzie zamykało mu drogę. Gospodarstwo rozwijało się pomyślnie, a dzieci rosły tak jak i prestiż rodziny Aniołów. Nie mogąc rozwijać się zawodowo Andrzej skupił się na pracy społecznej na rzecz lokalnej społeczności. Kiedy w 1989 roku Komuna padła na pysk, otworzyły się przed nim wielkie perspektywy. Ludzie o nieposzlakowanej opinii byli w cenie i piał się w zawrotnym tempie po drabinie awansów.

Nastał rok 2006 – rok wyborów samorządowych i kolejna szansa na następny awans. Społeczność lokalna wysunęła go na kandydata na stanowisko prezydenta Leska jako kandydata bezpartyjnego. Wielkie zasługi dla miasta oraz nieposzlakowana opinia ustawiła go na pozycji lidera wszystkich przedwyborczych sondaży. Miażdżąca przewaga nie dawała żadnej nadziei konkurentom. Tak było do czasu, aż miejscowa gazeta „Głos Miasta” wydrukowała na pierwszej stronie artykuł pt. „Anioł wcale nie jest aniołem – to szpicel SB!”. Rozpętała się burza, jakiej miasto nie pamiętało w swojej dosyć długiej historii. Najbardziej lubiany, najbardziej zasłużony obywatel został oskarżony o współpracę

z SB. Zaczął się horror! Kilka razy w tygodniu otrzymywał anonimy z pogróżkami, pluto na jego samochód, wybito kilka szyb w oknach jego domu. Dzieci i żona zaczęli bać się wychodzić na dwór. Wszystkie organizacje społeczne, w których udzielał się od wielu lat zawiesiły jego członkostwo. Straszny ból rozsadzał jego duszę, zemsta SB dosięgła go po tylu latach, mało tego, gdyż wszystko to obnażyło prawdziwy charakter społeczności, której od lat pomagał.

Koledzy przestali odbierać telefony od niego, zaczęto osaczać całą jego rodzinę.

Trzeba było uciąć jak najszybciej łeb całej sprawie. Pierwszym krokiem było wycofanie swojej kandydatury, bo nawet gdyby wygrał wybory, to nie chciałby już rządzić tymi ludźmi. Za lata oddanej społecznej pracy teraz wbito mu nóż w plecy tak samo jak komuniści zrobili z jego matką. Nie widział żadnej różnicy!

Następnym krokiem było złożenie do IPN wniosku o oczyszczenie go z podejrzeń. Pojechał do Warszawy i osobiście wypełnił formularz. Mimo, że przecież najlepiej znał swoją przeszłość czuł duży niepokój. Nie sypiał po nocach, śniły mu się jakieś koszmary, a często były to demony przeszłości. Wiele w życiu przeszedł, mało zaznał dobra i raczej dobro płynęło od niego w drugim kierunku. To wszystko miało znaczenie, ale tylko dla jego rodziny. Aneta dzielnie wspierała go w tych trudnych chwilach i obydwójce przeżywali horror czekania na wyrok.

– To niemożliwe by zapadł wyrok Tobie nieprzychylny – powtarzała mu to kilka razy dziennie – przecież byłeś ofiarą systemu, zabili Ci matkę, wyrzucili ze studiów, zniszczyli połowę życia.

– I cóż z tego – Andrzej czuł wewnętrzny niepokój – widzisz co się dzieje wokoło. Ty z dziećmi boicie się wyjść na ulicę, przecież nawet wtedy tak nie było. Nie wiem, co mi wpisali w tę przeklętą teczkę, oni posuwali się do wszystkiego. Pamiętam dobrze jak mi powiedział ten Esbek „z Władzą Ludową nie wygrasz”.

– To już minęło! – żona nie ustępowała – teraz nie ma już ani SB, ani Komuny.

– Tak, ale są jej duchy i trwać będą, aż umrze ostatnia osoba z naszego pokolenia.

24 maj 2006 roku – wracamy do początku naszej opowieści. Andrzej Anioł jest wśród tej czteroosobowej grupki czekającej na wyroki mające zasadniczy wpływ na ich byt czy niebyt. Godzina czternasta, uchylają się drzwi i ukazują się w nich sekretarka. Rozgląda się wokoło i kiedy jej wzrok pada na naszego bohatera, mówi – Proszę, Pan wejdzie.

Andrzej wolno wstaje i z wahaniem przekracza próg sekretariatu. Nie rozgląda się wokoło, mało obchodzi go wystrój, przyszedł tu w konkretnej sprawie i tylko to się liczy.

– Proszę pokwitować odebranie decyzji – urzędniczka podaje mu jakiś papier. Spojrzał uważniej na dokument i zaczął czytać.

– To tylko pokwitowanie – urzędniczka wymownie spogląda na zegarek, chcąc skrócić formalności.

– Już kiedyś coś na szybko podpisałem i teraz odbija mi się to czkawką – odburknął i spokojnie czytał dalej. Faktycznie to było tylko takie krótkie oświadczenie, że otrzymał decyzję z IPN.

– Proszę – podała mu dokument – miłego dnia!

– Dziękuję, każdy miły dzień mi się przyda, tak ich mało miałem w swoim życiu – odparł, chwycił decyzję i wyszedł z sekretariatu. Szedł korytarzem trzymając kurczowo papier i panicznie bojąc się jego treści. W sumie jednak jego treść miała już dla niego podrzędne znaczenie. Został w przeciągu miesiąca brutalnie odarty ze złudzeń. W wieku 55 lat tu, siedząc na korytarzu, czekając na wyrok przekonał się, że w życiu liczy się tylko najbliższa rodzina i nikt poza tym. Mój Boże, a jak ktoś nie ma rodziny? Straszne!

Wyszedł przed budynek i zatrzymał się. Po drugiej stronie ulicy na krawężniku stała Aneta wraz z Markiem i Gosią, ich już dorosłymi dziećmi. Stali i wpatrywali się z napięciem w wychodzącego męża i ojca. Oni jedni czuli to, co on, czuli brutalność i bezwzględność tego świata wobec niego. Stali i drżeli. Wiedział,

że nie chodzi im o wyrok, ale tylko o niego, jak on to udźwignie, jeśli decyzja będzie niekorzystna.

Wielki uśmiech pojawił się na jego twarzy, przecież miał się z czego cieszyć, miał kochającą rodzinę, a reszta się nie liczy. Poszedł do stojącego przy wejściu kosza i z wielką satysfakcją podarł dokument nawet go nie czytając. Ulżyło mu, bo wiedział, że godności nie zabrało mu SB i nie zabierze IPN. Niech wstydzą się Ci, co na niego plują, bo on może każdemu spojrzeć w twarz. Zbliżył się do krawędzi jezdni i ostrożnie wkroczył na asfalt. Samochody zatrzymały się, by przepuścić przechodnia, a kiedy był w połowie ulicy zatrzymał się, odwrócił na pięcie spojrzął na budynek, z którego wyszedł przed chwilą i w symbolicznym geście pokazał środkowy palec prawej ręki. Chociaż w ten sposób mógł wyrazić swój szacunek dla tej instytucji.

Ponieważ jest lipiec 2006 roku to nie wiem co będzie się dalej działo z Andrzejem Aniołem. Znalazł oparcie w rodzinie i na pewno da sobie jakoś radę, zawsze mogą wyjechać w Bieszczady i przyłączyć się do grupy wypalaczy drewna, a jeśli nie ma już takich grup to na pewno powstaną nowe.

P.S. Ponury budynek Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego 24 maja godzina 18:00, gabinet szefa jednego z wydziałów. Na drzwiach tabliczka: „Pułkownik Jerzy Zabielski”, a w środku syn naszego starego znajomego kapitana, tak, ta sama krew tylko inne czasy.

Przed nim na biurku dwie teczki, jedna to teczka Małgorzaty Anioł, a druga Marka Anioła. Wolno otwiera każdą z nich i odręcznie czerwonym długopisem wpisuje na pierwszej stronie jedno, tylko jedno zdanie „potomek wroga demokracji!”.

HISTORIA PIETRZAKA

5 maja 1950 roku w małej mieścinie, ale z dużą fabryką ciągników w budowie, czyli w Ursusie przyszedł na świat Jan Pietrzak. Dziecko to było owocem miłości przodownicy pracy Marianny z domu Rękawek i Józefa również przodownika, ale może mniej pracy, a bardziej w sianiu prorządowej propagandy. Matka pracowała do nocy podbijając normy, ojciec pił razem z towarzyszami na partyjnych spotkaniach i dziecko chowało się właściwie samopas. Zresztą, jaka to była różnica w tym przypadku? Żadna! Już podstawówka była barierą prawie nie do przebycia dla młodego Pietrzaka, ale kiedy ojciec załatwił dyrektorowi „dywanik” w komitecie, mały natychmiast dostał promocję, opuścił szkołę i mógł szukać szczęścia w świecie. Świat jednak dla niego nie był za duży i zaradny tatuś załatwił mu miejsce w przyzakładowej szkole zawodowej. Niestety nawet placówka o tak niskim poziomie wymagań i nauczania była dla niego za trudna. Ciągnął się w ogonie i tylko nagminne interwencje aktywisty ojca skutkowały promocjami. Nie powiem, że rodzice nie boleli nad miernymi wynikami, a właściwie brakiem postępów w nauce syna. O, nie! Nikt nie był w stanie policzyć ile dostał batów.

– Dlaczego w nas się nie wrodziłeś nicponiu!? – to najbardziej popularne hasła podczas rodzinnych awantur, ale jak się zastanowić, to syn w porównaniu z nimi był geniuszem, gdyż oni nie skończyli nawet podstawówki.

Chodził do szkoły, bo użycie słowa uczył byłoby dużo na wyrost i równolegle pracował w fabryce. Pełnił funkcję „przynieś, podaj, pozamiataj” i dopiero pewne wydarzenia otworzyły przed nim drzwi do kariery, tak moi drodzy do... prawdziwej kariery.

Przyszedł marzec 1968 roku, studenci zbuntowali się przeciw władzy ludowej. Władza nie chciała użyć wojska, miała lepszy pomysł, postanowiła wykorzystać wieczny konflikt między tymi, którzy dążą do władzy przez wiedzę, a tymi, którzy bez dążenia do wiedzy dążą do władzy.

Skrzyknięto pospolite ruszenie z zakładów pracy i oczywiście Ursusa nie ominięto. Janek dostał piękną długą białą pałkę, hełm i błogosławieństwo Partii. Gromadnie, autobusami dotarli do centrum Warszawy. Rozpoczęło się polowanie i tu wreszcie ukazały się prawdziwe zdolności naszego bohatera. Tak jak jego matka podbijała normę, tak on teraz podbijał oczy, odbijał nerki i wątroby zbuntowanej młodzieży. Jego zaangażowanie nie uszło uwadze nadzorujących akcją. Nazwisko Pietrzak zostało zapamiętane! W połowie maja wezwano go do budynku dyrekcji, do pokoju nr 217 na drugim piętrze. Czuł, że to wielki dzień i z tej okazji założył nowy fioletowy garnitur z krempliny i nowe czarne lakierki. Odpacykowany jak „stróż w Boże Ciało” stanął przed obskurnymi szarymi drzwiami z małą tabliczką z nr 217 i mocno zapukał.

– Wejść! – usłyszał zachrypły głos z wewnątrz.

Nacisnął kławkę i znalazł się w przestronnym pokoju. Rozejrzał się ciekawie wokół. Duże nowoczesne biurko pośrodku, regały na wysoki połysk przy ścianach, a w nich jakieś mądre książki oprawione w skórę, nigdy nie widział tak ładnych książek. Podszedł do niego sprężystym krokiem niewysoki, szczupły mężczyzna w czarnym garniturze. Krótko przycięte włosy, mała łysinka na tyle głowy, szare bystre oczka spoglądały zza okrągłych drucianych okularów.

– Witam Towarzyszu – wyciągnął rękę do nowoprzybyłego – cieszę się ze spotkania, chciałem bardzo Was poznać.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Siadajcie! – gospodarz wskazał Jankowi krzesło przy biurku i sam zajął miejsce w fotelu naprzeciw chłopaka.

– Napijcie się? – wyciągnął z szafki butelkę wódki z czerwoną kartką i dwa kieliszki.

– Jestem w pracy!

– Nie bójcie się, my tu stanowimy prawo. Jak ja częstuję to tak jakbyście nie pili. Zresztą oddani Partii towarzysze nie muszą się bać.

– To nalejcie – szepnął niepewnie.

– No już lepiej – zaśmiał się i sprawnie napełnił kieliszki. – To na zdrowie – podniósł swój i opróżnił jednym haustem. Janek uczynił to samo.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy – gospodarz wolno cedził słowa bacznie przyglądając się chłopakowi – jesteście zachwyce- ni Waszą postawą podczas marcowych antypaństwowych zajęć. Wasza postawa stała się wzorem dla innych towarzyszy. Jesteście gwiazdą i takich ludzi nam potrzeba.

Janek siedział i nie wierzył własnym uszom. Jeszcze wczoraj do głowy by mu nie przyszło, że następnego dnia będzie pił wódkę z taką „szychą”. Widać, że to jakiś ważny towarzysz, chciałby też kiedyś być taki jak on.

– Wiecie, kim jestem? – spytał mężczyzna.

– Kimś bardzo ważnym – wydusił przejęty młody Pietrzak.

– Owszem – tamten roześmiał się – jestem majorem Służby Bezpieczeństwa i moim zadaniem jest wyszukiwanie wrogów ludu i ich eliminowanie. Potrzebuję do tego odpowiednich zaufanych ludzi, ludzi dojrzałych ideowo, rozsądnych i oddanych towarzy- szy. Rozumiecie?

– Tak! – Janek kiwnął głową, ale tak naprawdę to niewiele z tego rozumiał. Jak mu ktoś pokaże konkretnego typka to może mu obić mordę, ale jak rozpoznać takiego wroga?

– Wybrałem Was – kontynuował funkcjonariusz – chcę mieć Was w swoich szeregach.

– Mnie? – z wrażenia gorąco uderzyło chłopakowi do głowy. Nie wierzył własnemu szczęściu – co za wyróżnienie! On – zwy- kły robotnik, z którego wszyscy śmieją się, robią mu kawały, bę- dzie pracował dla takiego gościa. Patrzył z coraz większym po- dziwem i oddaniem na swojego rozmówcę. Nie zawiedzie się, dokopie wrogom Polski Ludowej, będzie obijał mordy wszyst- kim kogo mu wskażą.

– Panie majorze stłukę na kwaśne jabłko każdego, kogo wska- żecie! – wykrzyknął z entuzjazmem.

– Nie, nie – oficer pokręcił głową – do bicia mamy prymitywnych pacholków, a Wy – tu zrobił małą przerwę – Wy jesteście bystrzy, inteligentni i ja mam dla Was ściśle tajną misję. Będziecie naszym tajnym agentem!

Jankowi zrobiło się prawie słabo z wrażenia. Czuł, że to historyczna chwila w jego życiu, że otwierają się przed nim drzwi do wielkiej kariery. Przecież on będzie takim drugim Kapitanem Klosem, którego uwielbiają tłumy.

– Będziecie dalej pracować jakby nigdy nic – kontynuował SB-ek – tylko nasłuchujcie, co kto mówi, kto się z kim spotyka, miejcie oczy i uszy otwarte.

– Będę obserwował wszystkich, mam dobrą pamięć i mogę powtórzyć każdą rozmowę – entuzjazm dosłownie rozsadał młodego.

– I bardzo dobrze, widzę, że nie pomyliłem się i na pewno docenimy Was – major był bardzo zadowolony. – Teraz tylko musicie podpisać jeden papier i możecie rozpocząć działalność.

– Już nie mogę się doczekać! – Janek dosłownie wiercił się na krześle, jak najszybciej chciał podpisać dokument, żeby przypadkiem ten oficer się nie rozmyślił. To wszystko było jak piękny sen i nie chciał, by się kiedykolwiek skończył. Podpisał podsunięty papier nawet go nie czytając.

– No to wypijmy za naszą współpracę – major ponownie zapełnił kieliszki.

– Na zdrowie! – mocny bezbarwny trunek przypieczetował układ, który miał trwać wiele długich lat.

Wreszcie młody Pietrzak dowartościował się. Czuł się kimś innym, kimś wyjątkowym, kimś ważnym. Nikt przecież nie wiedział jak ważną misję mu powierzono, jaka odpowiedzialność spoczywała na jego barkach. Jedyńm minusem jego współpracy były pisemne raporty, które musiał ciągle składać. Pisanie nie było jego mocną stroną i przekładanie wiadomości na papier było straszną katorgą. Po pewnym czasie odkrył też jeszcze jedną dobrą

stronę jego misji. Nielubianym przez siebie ludziom dokładał nie-raz jakieś antypaństwowe wypowiedzi. To często wystarczyło, by pozbyć się delikwenta z pracy, a w najłagodniejszym wariancie fundował kilkudniowe wczasy na Rakowieckiej (areszcie SB). Ilość i objętość sprawozdań przekładała się na grubość koperty wręczanej mu raz w miesiącu przez pułkownika (major awansował).

Życie biegło spokojnie aż do dnia, kiedy młody Pietrzak zakochał się. No cóż, to może się przytrafić każdemu. Wybranką serca Janka była niebrzydka dziewczyna z kadr. Niewysoka, trochę przy kości, z długimi czarnymi warkoczami i okrągłą miłą buzią mogła się podobać – no i się spodobała. Problem był jednak w tym, że spodobała się dwóm młodzieńcom, ale jej w oko wpadł jeden z nich i co gorsze nie nasz bohater.

Wybrankiem panienki był młodzieniec z księgowości – adept ekonomii, wysoki, ładny blondyn . Pracował w Zakładach od niedawna, a ponieważ siedzieli w sąsiednich pokojach często na siebie wpadali, co zaowocowało obopólną sympatią. Janek nie wiedział o tym i żyjąc w błogiej nieświadomości często zaglądał do kadr niby przypadkiem. Zawsze elegancko ubrany (w międzyczasie awansował i objął stanowisko pracownika umysłowego – proszę tylko nie pytać co to był za stołek, ponieważ nikt tego nie wiedział, nazywało się ładnie – starszy referent, co o paradoksie życiowy bardzo do niego pasowało – referował wszystko Służbom Specjalnym).

Dziewczyna nie reagowała na jego podchody i to go bardzo rozsierdziło. Przecież był bardzo dobrą partią. Zawsze miał pieniądze, podjeżdżał pod zakład „fura”, a wtedy samochód był tylko marzeniem dla większości Polaków, dbał o wygląd, zawsze był ogolony i wypachniony, piękny garnitur, super koszule, jednym słowem szpan!

Po miesiącu niepowodzeń zaczął dziewczynę śledzić i odkrył prawdę, a była ona przerażająca. Fircyk z księgowości uwodził jego ukochaną. Krew w nim zawrzała, ciśnienie skoczyło, zęby zwarły w szczękoscisku, umysł przestał pracować, ale akurat to

było kompletnie niezauważalne, bo nigdy mu nie działał zbyt dobrze.

– Nie wiesz z kim zadarłeś gnojku – wycedził przez zęby i zaczął obmyślać jak usunąć konkurenta. Trzeba przyznać, że jako zasłużony kapuś miał duże możliwości, ale chciał wybrać coś specjalnego, coś co zdepcze gada na miazgę, coś co zniszczy go dosłownie i w przenośni. Mimo, że komórki pracowały mu na 200% nic nie potrafił wymyślić. Po prostu to go przerosło. Udał się więc po pomoc do pułkownika.

Stanął przed drzwiami i zawahał się – jak zacząć? Co mu powiedzieć? Zresztą powiem mu wszystko, zawsze był dla mnie jak Ojciec, niech coś wymyśli – energicznie zapukał.

– Wejść! – usłyszał znajomy głos, nacisnął klamkę i znalazł się w środku.

– Siadaj! – oficer wskazał krzesło, a następnie sięgnął po butelkę i kieliszki. Wolno nalał, podał alkohol Jankowi i sam bez toastu opróżnił swój kieliszek.

– Wiem, że masz kłopot – spojrzał uważnie na swojego człowieka – i wiem, że chcesz mojej pomocy.

– Tak! Skąd Towarzysz pułkownik wie o tym? – zdziwił się.

– My wszystko wiemy – zaśmiał się esbek – dzięki takim ludziom jak Wy!

– Ale – zawahał się – czy warto dla baby zaciągać taki kredyt u nas?

– Kredyt? – zdziwił się Janek.

– No, to już grubsza sprawa Towarzyszu, co innego usunąć wrogi element, a co innego zrobić kogoś w działalność antypaństwową. Owszem, my nie opuszczamy swoich ludzi w potrzebie, ale za wszystko trzeba płacić. Jeśli usunę tego człowieka to musicie się liczyć, że kiedyś ja zwrócę się do Was o to samo.

– Ale możecie go załatwić Towarzyszu pułkowniku? – szepnął przez zęby Pietrzak.

– My wszystko możemy, ale czy na pewno tego chcecie? Pamiętajcie, że jak uruchomię maszynę, to zniszczę go na całe życie,

weźmiecie to na swoje sumienie? Przecież dziewczucha, nawet, kiedy go usuniemy może was nie chcieć.

– Nieważne – wycedził – zniszczcie gada!

Oficer zrobił dziwną minę, pokręcił głową, a następnie wolno sięgnął ręką do szuflady. Po chwili położył jakieś zawiniątko na biurku. Spojrzał swojemu rozmówcy prosto w oczy i wskazując paczuszkę powiedział – To jest nóż, narzędzie zbrodni z piątkowego morderstwa w centrum Warszawy, pewnie słyszeliście o tym. Waszym zadaniem jest podrzucić mu to do biurka, a resztę zostawcie nam. Widzicie jak Was dobrze znamy. Wiedziałem, że przyjdziecie, wiedziałem czego będziecie chcieli i dlatego mam tu ten nóż.

– Dziękuję, odwdzięczę się – Janek chwycił zawiniątko i szybko wybiegł z gabinetu.

Pułkownik wstał i wolno podszedł do okna. Patrzył w zamyśleniu na wychodzącego z budynku kapusia.

– Co za glista! – westchnął mocno zdegustowany, odwrócił się na pięcie, podszedł do biurka, wolno nalał sobie kielicha i wypił do dna.

Po piętnastej kiedy opustoszały biura, drzwi do księgowości uchyliły się na chwilę i schylona postać podkrađła się do biurka przy oknie. Delikatnie uchyliła drzwiczki do szafki po prawej stronie i wsunęła jakieś zawiniątko. Nie minęły dwie minuty, a tajemnicza postać zniknęła z budynku.

Następnego dnia już przed siódmą młody Pietrzak pojawił się w Zakładzie. Nie chciał przegapić żadnego szczegółu, pragnął się nasycić swoją zemstą. Pieprzony inteligent chciał jemu – aktywiście, zaufanemu człowiekowi Partii wyrwać kobietę! Teraz spotka go zasłużona kara i popamięta to przez całe życie. Myśli cham, że jak już inżynier to wszystko może, pora pokazać mu jego miejsce w szeregu!

Tuż przed ósmą przed wejście główne zajechały na sygnale dwa radiowozy, wyskoczyli z nich milicjanci i wbiegli na piętro. Z impe-

tem wkroczyli do księgowości, podeszli do wybrańca panienki z działu kadr. Kompletnie zaskoczonym brutalnie rzucono o ścianę, wykręcono ręce do tyłu i zakuto w kajdanki.

– No zobaczmy gagatku, co ty tu masz w swoim biurku? – najstarszy rangą milicjant, bodajże sierżant uchylił drzwiczki i wyciągnął małe podłużne zawiniątko.

– No, co tu macie obywatelu? – zwrócił się do aresztowanego.

Chłopak osłupiały spoglądał na pakunek kompletnie nic nie rozumiejąc.

– To nie moje – zaprotestował.

– Nie twoje? – funkcjonariusz zaśmiał się z drwiną – to może powiesz czyje? Może tych obywaterek? – wskazał koleżanki z pokoju.

– Nie mówię, że Pań, ale to nie moje – wrobiony przez Pietrzaka chłopak twardo się zapierał.

– Dobra, zobaczmy co tu mamy – milicjant schylił się nad pakunkiem i zaczął ostrożnie go rozwijać. I oto oczom obecnych ukazał się długi zakrwawiony nóż.

– O, a co to jest Obywatelu? – zmierzył groźnym wzrokiem przerażoną ofiarę.

– To nie moje – wyszeptał przerażony.

– To może moje? – sierżant delikatnie chwycił nóż – ciekawe kogo nim zadźgałeś łobuzie?

– To nie moje! – Głos młodego ekonomisty łamał się. Z rozpaczą w oczach wpatrywał się w znalezisko kompletnie nic nie rozumiejąc – naprawdę nie wiem skąd się to tu znalazło, musiał to ktoś podrzucić.

– Dobra, dobra, pogadamy na komendzie, ale zupełnie inaczej – dowódca milicjantów z powrotem ostrożnie zawinął nóż w szmatkę i popychając przed sobą aresztanta wyszli z pokoju. Grupa przebijała się przez tłum gapiów ku wyjściu, a kiedy ofiara mijała sprawcę intrygi usłyszała – To za dziewczynę, przeklniesz dzień, w którym ją poznałeś.

Spotkały się ich spojrzenia, a wzrok kapusia bardziej wystraszył chłopaka, niż oskarżenie. To była niesamowita dzika nienaWiść człowieka, którego w ogóle nie znał.

Minął rok i tak jak to przewidział pułkownik dziewczyna, mimo, że straciła wybranka nie chciała nawet słyszeć o chodzeniu z Pietrzakiem, a młodemu ekonomiście złamano życie – dostał dożywocie.

Nastał rok 1976, rok słynnych rozruchów robotniczych. Cała Polska wrzała, a Radom i Ursus przewodziły rebelii. Nie myślcie, że władza nic o tym nie wiedziała, bo to nieprawda. Wszystko wbrew pozorom było pod kontrolą Służb Specjalnych, czego przykładem był Ursus. Na tydzień przed rozruchami nasz bohater nie nadązał z pisaniem raportów. Akta rosły proporcjonalnie do jego konta w PKO. Wszyscy płatni informatorzy mieli żniwa, niepokoje to hossa na rynku donosicieli. Kiedy jednak sytuacja zaostrzyła się do granic wytrzymałości przyszedł czas zwrotu długu.

Pułkownik wezwał Janka w pilnym trybie. Ten stawiał się posłusznie nie przypuszczając, że już niedługo przekroczy następną nieprzekraczalną dla normalnego człowieka granicę, że teraz zabije w sobie ostatnie ludzkie odruchy, stanie się bestią, jeśli jeszcze nią nie był.

Tym razem szef był w mundurze milicyjnym. Tak jak zawsze siedział w tym samym fotelu, przed tym samym biurkiem, popijał tę samą wódkę, tylko mina była jakaś inna, poważna, a nawet groźna.

– Siadajcie! – powiedział na powitanie i od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Rok temu pomogliśmy Wam w pewnej sprawie i teraz nadzedł czas by zwrócić dług.

– Tak jest, jestem do dyspozycji!

– To jest sprawa ściśle tajna i nie możecie tego spieprzyć.

– Pułkownik wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. Stanął za Pietrzakiem i kontynuował – znacie mistrza Leszczyńskiego?

– Pewnie że znam, przecież on najbardziej bruździ naszej władzy.

– Otóż to, ma przestać bruździć i myślę, że wiecie co mam na myśli.

Zaległa cisza. Dreszcz przeszedł przez ciało kapusia.

– To znaczy, że mam go ... – zawahał się.

– To właśnie znaczy, że macie go... – funkcjonariusz wszedł mu w słowo – chyba nie muszę kończyć?

– Nie, tylko nie wiem jak?

– My wiemy – oficer zapalił papierosa. – Dziś ma zebranie rodziców w pobliskiej szkole podstawowej i będzie wychodził około 18. Ma do domu jakieś pięćset metrów wśród krzaków, teren nieoświetlony, dobre miejsce. Tu może napaść go jakiś bandyta. Rozumiecie?

– Rozumiem – nasz bohater dostał plan i już wiedział, co należy zrobić, by Leszczyński więcej nie utrudniał życia Władzy Ludowej.

– Czym go załatwicie to Wasz problem, byle skutecznie – pułkownik usiadł z powrotem za biurkiem. – Nie nawalcie. Wiecie, że musimy trzymać się razem. Raz my Wam, innym razem Wy nam. Teraz idźcie i przygotujcie się odpowiednio.

– Tak jest – Pietrzak wstał, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Ponieważ jego iloraz inteligencji oscylował w okolicy zera, a jedynym narzędziem zbrodni jaki kiedykolwiek widział był nóż, postanowił użyć tego narzędzia. Wrócił do domu, poszedł do kuchni i wyjął z szuflady najdłuższy jaki znalazł.

– Ten będzie dobry – powiedział sam do siebie i położył go na stole. Usiadł obok i zamarł w oczekiwaniu. Miał jeszcze trzy godziny i mimo wszystko ogarniał go jakiś dziwny niepokój.

Nie to, że szkoda mu było ofiary, bo nie znosił tego faceta i zawsze chciał mu dokopać. Nigdy jednak nie zabił i nie wiedział, jakie to uczucie. Siedział i czekał, co chwila spoglądał na zegarek, ale czas biegł wyjątkowo wolno. Wyciągnął butelkę wódki i wypił dwa kieliszki, by dodać sobie animuszu. Jednak zdenerwowanie rosło, a około 17 nie wytrzymał emocjonalnie i wybiegł z mieszkania. Obszedł okolicę sprawdzając drogi ucieczki a następnie wybrał miejsce napadu. Trzeba przyznać, że wybór był bardzo trafny. Ścieżka biegła tuż koło dużej kępy krzaczunów

i wystarczyło tylko z zaskoczenia wciągnąć delikwenta do środka. Ofiara była drobnej postury i Pietrzak nie spodziewał się problemów. Schował się za pobliskim drzewem i zastygł w bezruchu. Była 18, a on jak jastrząb wypatrywał swojej zdobyczy. Napęczenie w nim wzrastało, adrenalina szła ostro w górę, zaciskał kurczowo dłoń na rękojeści noża, który za chwilę miał stać się narzędziem zbrodni. Mijały minuty, a tu nic, aż nagle usłyszał czyjeś kroki. Nie był to jednak odgłos pojedynczej osoby, wyraźnie szły dwie osoby, tego nie przewidział. W oddali zobaczył sylwetkę Leszczyńskiego trzymającego za rękę dzieciaka.

– Cholera! – syknął przez zęby – będzie świadek, chyba że...? Wtedy oni będą mieli dług wobec mnie – zabłysła mu nagle nowa myśl w tym chorym, zdegenerowanym umyśle. Myśl godna tylko szaleńca!

Kiedy przechodnie byli na wysokości krzaków Pietrzak wyskoczył z tyłu zza drzewa i z całej siły wbił nóż w plecy mężczyzny, poczym szybko wyjął go, chwycił dzieciaka za ramię i nie namyślając się wbił mu go w brzuch. Obydwie ofiary osunęły się na ziemię nie wydając najmniejszego dźwięku. Zaskoczenie było kompletne, gdyż napad przeprowadzony został błyskawicznie.

Najpierw wciągnął w chaszczę mężczyznę, a po chwili dzieciaka. Kiedy chwycił ciało może dziesięcioletniej dziewczynki i ujrzał w świetle księżycy szeroko otwarte zimne, martwe oczy coś w nim drgnęło, coś przeszło jego czarną duszę, przez moment poczuł obrzydzenie dla samego siebie. Nigdy nie zaznał tego uczucia, ale dziś zasiało ono w nim coś, co powracało przez wiele lat... załazki sumienia. Zwłoki przykrył gałęziami, nóż wytarł o kurtkę ofiary, rozejrzał się wokoło i po chwili jego sylwetka rozplynęła się w mroku.

Omijając oświetlone ulice przemykał zakamarkami w kierunku domu. Nóż ukrył w dziupli starego kasztana w parku miejskim i po pół godzinie dotarł do mieszkania. Wpadł do środka i pierwsze kroki skierował do łazienki. Silne torsje wstrząsnęły jego organizmem.

Nie mógł oderwać się od kibla i dopiero po jakimś czasie doczłapał się do umywalki. Obmył twarz zimną wodą i poczuł się trochę lepiej. Ciągle miał to wszystko przed oczyma. Leszczyński poszedł gładko, nawet nie myślał, że nóż tak łatwo rozetnie tkaniki, czuł jak ostrze otarło się o żebra i dotarło do serca. Pewnie dlatego nie zdążył nawet jęknąć. Śmierć przyszła natychmiast. Z małą poszło gorzej. Źle trafił i musiał powtórzyć, dobrze, że zatkał jej usta dłonią, bo krzyk mógł zaalarmować przechodniów. Straszny był tylko ten wyraz twarzy, niemy krzyk wielkiej rozpaczy, potworność. Spojrzał w lustro, kiepsko wyglądał, ale w końcu nie co dzień zabija się człowieka. Wytarł twarz i poszedł do kuchni. Wyciągnął butelkę żytniej i nawet nie szukał kieliszka, pociągnął wielkiego łyka, najpierw jednego, później drugiego i tak raz po raz, aż ujrzał dno. Rzucił ją na podłogę i bujając się na nogach podszedł do szafki koło lodówki i wyciągnął drugą. Dziś tylko wódka mogła zabić ponure wspomnienie. Tym razem pokonał tylko połowę zawartości i nieprzytomny zwałił się z krzesła. Zasnął, ale nie był to sen pijaka, to był sen zwyrodnialca, którego dorwały macki sumienia. Zobaczył małą Leszczyńską krzyczącą o pomoc, zobaczył swoje zakrwawione dłonie, nóż i pełno krwi. Zobaczył jakąś kobietę rzucającą się mu do oczu i krzyczącą – Ty morderco, oddaj mi córkę!

Budził się co raz z potwornym bólem głowy i od nowa zasypiał, a koszmary wracały jak bumerang. Tłum wściekłych kobiet gonił go po mieście, a on uciekał. Starał się ukryć gdzieś, ale nikt go nie wpuszczał. Najpierw zapukał do jednego mieszkania, a tu zobaczył tego blondynka odsiadującego przez niego dożywocie, w następnym mieszkaniu była studentka, którą wyrzucił z pierwszego piętra jakiejś kamienicy w 1968 roku i została kaleką. W następnym spotkał studenta, któremu odbił wątrobę. Co mieszkanie, to ktoś z jego przeszłości, ktoś komu dokopał, kogo pobił czy podkablował. Im był dalej, tym tłum gęstniał, ci z mieszkań dołączali do pościgu. Byli coraz bliżej i wtedy zobaczył ostatnie mieszkanie. Chwycił za klamkę, szarpnął drzwi i zobaczył pułkownika.

– Uff, jestem uratowany! – pomyślał.

– Nikt ci nie kazał zabijać dzieciaka, nawet my tego unikamy, teraz radź sobie sam! – Krzyknął tamten, po czym wypchnął go poza próg i zatrzasnął drzwi. Wtem tłum z okrzykiem triumfu dorwał swoją ofiarę.

Obudził się cały mokry, dosłownie zlany potem ze strachu.

– Uff, to tylko sen – odetchnął z ulgą. Wstał i potykając się o leżące butelki dotarł do łóżka, na które rzucił się w ubraniu i zasnął.

Następnego dnia nie poszedł do pracy, nie dał rady. Potworny kac rozwalał mu głowę, a prócz tego jakoś podświadomie bał się wzroku pracowników. Tak jakby oni wiedzieli, że on jest tym, który popełnił tę straszną zbrodnię, która wstrząsnęła miastem.

Około 12 zadzwonił telefon, patrzył na aparat wahając się czy go odebrać, ale po chwili ostrożnie podniósł słuchawkę.

– Jesteście tam? – usłyszał głos pułkownika.

– Tak, Towarzyszu, jestem! – odparł.

– Co wyście najlepszego narobili? Czyście rozum postradali!?! – oficer był bardzo zdenerwowany. – Przecież określiłem dokładnie zakres waszego zadania.

– Tak, ale nie był sam – próbował się bronić.

– To trzeba było dzisiaj gdzieś go dorwać, a nie zabijać dzieciaka. Teraz dopiero się zacznie, to przecież iskra na beczce prochu. Nie przychodźcie do pracy aż do odwołania. Nie chcę Was teraz tu widzieć. Odezwę się.

– A co ja mam robić? – szepnął rozgoryczony postawą szefa.

– Pijcie, śpijcie, nie wiem, to wasza sprawa. To wyście nawarzyli piwa, tylko pamiętajcie – gęba w kubeł!

Usłyszał odgłos odkładanej słuchawki. Już wczoraj podświadomie czuł, że przesadził i wiedział, że słusznie obrywa.

Był to ciężki tydzień. Koszmary raz po raz wracały, a on alkoholem starał się je pokonać. Nic to nie dawało i twarz dzieciaka

co jakiś czas powracała. Wypił morze wódki, kaca miał na okrągło i gdyby nie dostał wezwania do pracy, to rozpiłby się kompletnie.

– Co się z wami dzieje? – wykrzyknął pułkownik na widok Pietrzaka. – Co z siebie robicie? Weźcie się za siebie, koniec z pićciem. Wiem co czujecie, ale nie bądźcie babą, każdemu może się przydarzyć wypadek przy pracy, nie wy jedni zlikwidowaliście kogoś niepotrzebnie.

– Ale to był dzieciak – jęknął.

– No i co z tego, spójrzcie na to inaczej. Z dzieciaka wrogiego elementu wyrósłby też wrogi element w myśl powiedzenia „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”.

Po prostu wyprzedziliście fakty.

– Tak myślicie? – wreszcie usłyszał od swojego „Guru” to, na co czekał.

– Tak, tak myślę. Zapomnijcie o sprawie i zajmijcie się swoimi typowymi obowiązkami. W Zakładzie aż się gotuje, a nam potrzebne każde uszy. Idźcie w tłum, badajcie nastroje i wyłuskujcie prowokatorów, podjudzaczy. Chcemy nazwisk, a resztę to już my załatwimy.

– A co z Leszczyńskimi?

– Jak to, co? Milicja złapała włóczęgę i jak go przycisnęli, to przyznał się do morderstwa.

– Przyznał się? – zdziwił się Pietrzak – przecież jest niewinny.

– Jak mu spuścili łomot to krzyczał, że przyzna się do wszystkiego, byle tylko przestali – pułkownik wyciągnął butelkę i nalał sobie kieliszek.

– Wam nie nalewam, wy macie dość na długo, ale mogę wypić za wasze zdrowie. Teraz zabierajcie się i czekam na raporty.

– Tak jest! – nasz bohater wyraźnie podbudowany psychicznie rączo wstał z krzesła, odwrócił na pięcie i wyszedł.

Jak potoczyły się wydarzenia roku 1976 wszyscy wiemy. Jan Pietrzak swoją postawą (czytaj donosami) znowu zasłużył się ukochanej władzy. Powoli zapomniał o swojej wpadce z małą

Leszczyńską. Po wielu latach pisania doszedł już do takiej wprawy, że w tekście na jedną stronę robił tylko około 40 błędów ortograficznych, co przy początkowych 120 było wielkim sukcesem. Cieszył się on, a jeszcze bardziej byli uradowani ci, co to czytali. To co przeszli w pierwszych latach współpracy było straszne. Zdarzały się raporty, przy których bywali bezradni, te teksty wymagały tłumacza.

Jego zasługi zostały docenione i w 1977 roku wręczono mu świadectwo dojrzałości, a ze słów pułkownika wynioskował, że jest na najlepszej drodze do dyplomu magistra.

– Tak, towarzyszu – twarz szefa wyrażała wielkie zadowolenie – my doceniamy swoich ludzi, jeszcze będziecie dyrektorem, wspomnicie moje słowa.

Zawodowo wszystko szło dobrze, ale niestety życie prywatne jakoś mu nigdy nie wyklarowało się. Ta, której oddał swoje serce ordynarnie go olała i wyszła za innego. Tym razem nie mógł przejąć i jedynie załatwił delikwentowi trzy lata zaszczytnej służby na okręcie podwodnym. Była to jednak duża złośliwość, ponieważ chłopak miał prawie dwa metry wzrostu, a tam jest nisko i nieźle buja. Ten zawód miłosny tak go załamał, że odpuścił kobietom, a poświęcił się karierze zawodowej.

Dużymi krokami zbliżał się okres Solidarności. I znowu grupy kapusiów zaczęły robić super interesy, wzrosło zapotrzebowanie na dobre donosy, ich ceny szły ostro w górę jak teraz akcje na giełdzie papierów wartościowych. Pułkownik – człowiek dobrze poinformowany – postanowił przerzucić najlepszych ludzi na Wybrzeże.

– Pietrzak, nie macie rodziny, tu już was znają i dlatego przenoszę Was do Gdańska – zakomunikował.

– Tak daleko? – nasz bohater nie był z tego zbyt zadowolony.

– Spokojnie – pułkownik podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady szarą kopertę.

– Byłbym zapomniał, tu jest talon na nowego poloneza. – Szeroki uśmiech zagościł na jego obliczu. – Wy nawet nie wiecie, że

jesteście już studentem drugiego roku i myślę, że po powrocie z delegacji trzeba by znaleźć Wam jakąś dobrą posadę w dużym zakładzie. Zasłużyliście już na emeryturę, wasze raporty nie mieszczą się już w pięciu szafach. To chyba rekord. Nastął już czas na spijanie śmietanki.

– Tak, jest! – widok talonu na nową brykę bardzo zmotywował Pietrzaka. – Jutro mogę jechać, ale nie wiem gdzie?

– Do stoczni! Macie być szczególnie czujni, bo tam kroi się grubsza heca. Wszystkie raporty będą odbierał osobiście pod tym adresem – SB-ek podał zapisaną małą kartkę.

– Jutro macie się tam zameldować w kadrach, już na was czekają. Teraz zmykajcie, bo zaraz będę miał gości, a lepiej by was tu nie widzieli.

– Tak jest – nasz bohater szybko opuścił pokój.

Etap gdański na początku niczym się nie wyróżnił, będąc nowym pracownikiem nie wzbudził zaufania stoczniowców i najwięcej wiadomości czerpał z podsłuchiwania. Mimo tych trudności udało mu się wytropić kilku ważnych wichrzycieli. Centrala doceniła osiągnięcia Pietrzaka i poinformowano go o promocji na następny rok studiów. Przełom nastąpił zupełnie niespodziewanie, przypadkowo znalazł się przy Lechu Wałęsie, kiedy ten przesadzał mur stoczni. Został uznany za obrońcę robotników i w dużym tempie awansował w nowopowstałej Solidarności. Pułkownik zacierał ręce i jednocześnie przecierał oczy ze zdumienia. Nigdy nie przypuszczał, że ten prymitywny półgłówek, bezmyślne narzędzie SB nagle stanie się jednym z najważniejszych tajnych agentów. Człowiek w samej centrali to wielki sukces i wiedział, że to oznacza dla niego upragnioną nominację generalską.

Teraz należało ściągnąć najlepszych specjalistów właściwie od wszystkiego, trzeba zrobić z tej kreatury wybitnego działacza podziemia. Wczoraj dzwonił sam szef resortu, był pod wrażeniem.

– To jest priorytetowe zadanie, nieważne koszty, ten człowiek to skarb, nie możemy go stracić, wy generale za to odpowiadacie!

– Ależ Towarzyszu Generale, jestem pułkownikiem – zaoponował oficer.

– Byliście, byliście, ale od wczoraj jest inaczej!

To był nowy etap w życiu naszego bohatera. Służby Specjalne dokonały czegoś niemożliwego. Zmieniły faceta o zerowej inteligencji w gwiazdę Solidarności. Wszystkie braki starannie ukryto, niestety tylko ukryto. Z gapy nie zrobisz orła, a tym bardziej z bydlęcia wspaniałego rumaka. Wszystko jak zawsze było pod kontrolą, władza jako pierwsza znała każdą decyzję prezydium, mało tego, bo wprowadzając następnych agentów uzyskała bardzo duże wpływy. Rola Pietrzaka rosła i gdyby nie stan wojenny, mógł zachwiać pozycją Lecha Wałęsy.

Internowany, czytaj: wywieziony na super wczasy, korzystał całą pierśią z luksusu w krymskich kurortach i górskich ośrodkach rządowych. Specjaliści cały czas starali się jak mogli, by coś z niego zrobić, ale nie mogli pokonać bariery miernej inteligencji. Miało to jednak i swoje plusy, bo masy zawsze uwielbiały ciemne masy.

Stan wojenny zawieszono, następnie zlikwidowano, postawiono okrągły stół, czasy zmieniały się i zaczęli zmieniać się ludzie u sterów. Kto nie przestawił się na nowe tory, ten się wykoleił.

Pietrzak ze wzruszeniem w ciszy gabinetów MSW odebrał dyplom magistra – nagrodę za wieloletnią pracę na rzecz resortu. On – dziecko z nizin, z matki przodownicy pracy i ojca działacza partyjnego był teraz człowiekiem wykształconym, przygotowanym do pełnienia najwyższych funkcji w Państwie. W tym samym czasie generał SB – ten sam, który prowadził naszego bohatera od Ursusa po Warszawę łądował tajne akta swoich najlepszych ludzi na ciężarówkę, by wywieźć je w bliżej nieokreślone miejsce. To był jego kapitał na nowe czasy. Te papiery były warte fortunę. Została sama bezwartościowa sieczka. Służby specjalne można skopać, ale nie pokonać, one zawsze odrastają jak łeb hydry.

Minęło kilka lat względного spokoju. Towarzysz Pietrzak zamienił się w Pana Pietrzaka – vice szefa jednej z ważniejszych

partii politycznych. Jego sekretarzami zostali ci sami ludzie, którzy kiedyś tworzyli jego medialny wizerunek. Wykreowano go na męża zaufania wielu grup społecznych, a piękny życiorys działacza podziemia budził szacunek. Jako jeden z pierwszych zgłosił chęć obejrzenia swojej teczki, czym zaskarbił sobie łaskę skrajnej opozycji.

Piękna teczka z patriotycznym życiorysem wzmocniła jego pozycję.

Rok 2005 przewrócił wszystko na scenie politycznej, a początek 2006 zamieszał powtórnie. Utworzone koalicje nie gwarantowały stabilności. Zaczęto szukać kogoś, kto mógłby stanąć na czele rządu, potrzeba było człowieka wzbudzającego szacunek społeczny, mającego autorytet i wielką osobowość.

5 kwietnia około 17 jazgot telefonu zakłócił ciszę w jednym z luksusowych apartamentów w centrum Warszawy. Siwy starszy mężczyzna wolno podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

– Witajcie! – odezwał się znajomy głos.

– Witajcie! – wyraźnie ucieszył się słysząc swojego rozmówcę.

– Musimy pilnie spotkać się, mamy nowe zadanie!

– Zawsze, kiedy chcecie towarzyszu generale – służbiście odparł mieszkaniac apartamentu.

– Za godzinę podstawię samochód z kierowcą – zdecydował głos w słuchawce.

– Będę gotów! – Pietrzak zakończył rozmowę.

Wolno ubrał się, ogolił, zjadł śniadanie i zaczął zerkać w okno wypatrując pojazdu.

O uzgodnionej godzinie czarna elegancka limuzyna z przyciemnionymi szybami zatrzymała się przed wejściem.

Nasz bohater zjechał windą na dół i bez słowa wsiadł do „gabloty”, która bezszelestnie ruszyła z miejsca i skierowała się w kierunku Pragi. Przejechali przez Wisłę, minęli Saską Kępe i pojechali trasą na Lublin. Po jakiejś godzinie dotarli pod elegancką

wille w Józefowie. Brama otworzyła się automatycznie i wjechali na podjazd przed domem. Kierowca otworzył drzwi od samochodu i wskazał ręką wejście do budynku. Pietrzak rozglądał się ciekawie, nigdy tu nie był, a przecież to była posiadłość jego „Guru”, człowieka, który prowadził go za rękę przez całe życie, któremu zawdzięczał wszystko.

– Witajcie! – generał wyskoczył ze środka z wyciągniętą ręką.

– Cieszę się, że Was widzę, proszę, proszę do środka – zapraszał.

Panowie weszli do wnętrza, dźwiękochłonne drzwi zamknęły się za nimi. Przeszli do salonu gdzie już zwyczajowo na dobry początek wypili po kieliszku wódki.

– Czy jesteście Towarzyszu gotowi do zadania swojego życia?

– były SB-ek, przyglądał się badawczo swojemu człowiekowi – To jest uwieńczenie tylu lat Waszej ciężkiej pracy w departamencie. Teraz wywindujemy Was tak wysoko, że Wasze nazwisko będzie ciągle na czołówkach wszystkich gazet, a za kilkadziesiąt lat będziecie uwiecznieni w podręcznikach historii.

– Ale czy podołam temu? – zawahał się Pietrzak. – Już teraz często się gubię w tym wszystkim i gdyby nie przydzieleni przez Was sekretarze, miałbym kłopoty.

– Nie ma obawy, przydzielimy Wam jeszcze lepszych ludzi, będzie dobrze. Powiedzcie, czy Was kiedyś opuściłem?

– Nigdy Towarzyszu generale!

– No widzicie, jesteśmy wszyscy jak jeden organ i dlatego przerwamy nawet kapitalizm.

Generał wstał i jak to często lubił robić, zaczął przechadzać się po pokoju.

– Jutro musicie udać się do IPN – kontynuował – i wystąpić o papier stwierdzający, że z nami nie współpracowaliście.

– Ale przecież współpracowałem!

– Oj, Pietrzak – gospodarz pokręcił głową – przecież zrobiliśmy wam piękną teczkę, którą już pokazywaliście prasie. Zapomnieliście o tym??

– No, tak – nasz bohater teraz przypomniał sobie to zdarzenie.

– Teczka jest oryginalna, wszystkie pieczęcie, nawet dobraliśmy stary papier na którym umieściliśmy paskudne donosy na Was. Sam przejrzałem wszystko i wierzcie, perfekcyjna robota.

– Ale po co mi ten papier? – zdziwił się.

– Dowiecie się w odpowiednim czasie, a teraz napijmy się za powodzenie naszej misji – tym akcentem zakończyła się rozmowa.

I znów spotykamy się 24 maja 2006 roku. Korytarz w IPN i panowie siedzący na krzeselkach ustawionych wzdłuż ściany. Otwierają się drzwi sekretariatu i wychodzi z nich elegancko ubrany urzędnik.

– Ależ drogi Panie, Pan tu wśród zwykłych ludzi, to chyba jakieś przeoczenie – zwraca się do jednego z mężczyzn – zapraszam do mojego gabinetu.

– Nic się nie stało – Pietrzak wstał z krzesła – tu wszyscy jesteśmy równi i z pokorą przyjmujemy wasze wyroki.

– U pana to formalność – tłumaczył pracownik – żeby wszyscy mieli tak krystaliczną przeszłość, to nasz Urząd można by było zamknąć już dziś.

– Niestety – wskazał wzrokiem innych – nieraz mamy do czynienia ze strasznymi kanalami. Nawet Pan sobie nie wyobraża do czego zdolni są ludzie, do jakich potworności. W Pana teczce znaleźliśmy obrzydliwe donosy i już bierzemy się za tych ludzi. Będziemy śnić im się po nocach.

– Dajcie im spokój, to już minęło.

Weszli do gabinetu i zajęli miejsca w fotelach a mocna kawa i dobry koniak umiliły czas oczekiwania na decyzję. Kiedy sekretarka przyniosła dokument, urzędnik ze wzruszeniem wręczył go swojemu gościowi.

– Naprawdę jestem dumny ściskając rękę tak wspaniałego człowieka – wydusił na zakończenie.

W dwie minuty później nasz bohater wsiadł do swojego ciężkiego Merola i ruszył w kierunku domu. Odruchowo włączył radio i usłyszał wiadomość dnia:

„Przed chwilą Jan Pietrzak odebrał w IPN dokument wykluczający jego współpracę z SB i stwierdzający, że był prześladowany przez służby bezpieczeństwa. Prezydent na konferencji prasowej ogłosił, że chce utworzyć nowy ponadpartyjny rząd z największym autorytetem kraju na czele, czyli z Janem Pietrzakiem jako premierem”.

Merol z piskiem opon zahamował, a w pewnej willi w Józefowie pewien były generał SB dostał niepohamowanego ataku śmiechu!

HISTORIA PACIORA

12 listopada 1949 roku w małej lubelskiej wsi niedaleko Zamościa przyszedł na świat bohater naszej historii. Wiocha straszna, zabita dechami, obita na zimę zagatami, bieda w gospodarstwie, aż piszczało i właśnie w takich warunkach nowe życie wtargnęło na ten okrutny świat. Określenie trafne, bo poród był bardzo ciężki i bolesny. Siódme dziecko w rodzinie, ale czy ta magiczna cyfra przyniosła mu szczęście, to wątpię. Był to chłopczyk i na cześć świętego Józefa dano mu jego imię. Chłopczyk był lichego zdrowia i przez kilka pierwszych lat dreptał na cienkiej linii życia i śmierci. Ta druga go jeszcze nie chciała i został dzięki temu przy życiu. Ponieważ nędzne to było pachole, to oszczędzano go w polu i pozwolono uczyć się do woli, z czego chętnie korzystał. Już ksiądz na religii zauważył duże uduchowanie małej owieczki i od razu otoczył go swoją opieką. I tak rósł nowy, zdolny pasterz dla trzódek Kościoła, a mimo że czasy były dla wiary kiepskie, to wielkie perspektywy rozwoju duchowego i kariery otworzyły się przed małym Józefem. Kiedy skończył szkołę podstawową, wielbny proboszcz załatwił mu miejsce w seminarium duchownym w Zamościu. Młody garnął się do wiedzy jak cielak do mleka i od razu rzucił się w oczy wykładowcom. Celująco przebrnął szkołę i został przyjęty do wyższego seminarium w Lublinie, gdzie też od razu wyprzedził peleton i został liderem. Minęły następne lata i został studentem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Kościół widział w nim przyszłość i popierał go zawsze i wszędzie. Rodzina była z niego dumna, a starzy rodzice oczyma wyobraźni widzieli sąsiadów patrzących z zazdrością na dużą piękną tablicę na ich grobie z napisem „Leon i Albina Paciory – rodzice księdza”.

Wszystko szło pięknie, młody duchowny cieszył się sympatią i zaufaniem wszystkich wokoło, a kariera stała przed nim otworem.

No cóż, gwiazdy przyciągają wzrok i tak było i tym razem. Młodemu Paciorem zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa. Założyła mu akta, które zaczęły zapełniać się donosami od taj-

nych współpracowników. Teki puchły w oczach, zaczęto osaczać ofiarę ze wszystkich stron i czekano na moment by uderzyć, intensywnie szukano tak zwanego haka. Czas mijał, a władza cierpliwie czekała, wiedzieli, że taki moment nadejdzie i nadszedł. W 1976 roku aresztowano pięcioro jego studentów pod zarzutem działalności antypaństwowej. Dzieciaki, jak to dzieciaki bawiły się w rozrzucanie antypaństwowych ulotek na mieście, drukowały nielegalne gazетки. Zrobił się szum na całą Polskę, a radio Wolna Europa trąbiło o tym non stop. Ksiądz Józef odwiedzał swoich podopiecznych w areszcie i co było zastanawiające, nikt mu nie robił żadnych wstrętów w tej materii. Studenci byli w śmiertelnej trwodze, skuci w kajdanki w ciemnych, odosobnionych celach zdani na łaskę, czy niełaskę władzy ludowej czekali na rozwój wypadków. Nasz bohater pocieszał ich jak mógł, a oni z jego postawy czerpali siły by przetrwać. Kiedy wychodził, atakowali go rodzice, by wpłynął na władzę, by uwolniono ich pociechy. Sytuacja wyglądała bardzo poważnie. Wszystkim groził zakaz studiowania i pięć lat odsiadki bez możliwości warunkowego skrócenia kary. Chłopcy, a było ich trzech, zaraz po skończeniu kary dostaliby powołanie do marynarki wojennej na okres trzech lat. Właściwie już na wejściu zmarnowane życie pięciorga młodych ludzi. Kościół próbował mediować, ale bez rezultatu. Ksiądz, będąc opiekunem duchowym grupki, czuł się za nich odpowiedzialny. Gryzło go sumienie, że swoim nauczaniem doprowadził ich do konkretnych czynów, za które mieli teraz zapłacić tak wysoką cenę.

Trzeciego dnia, kiedy kończył odwiedziny, zatrzymał go na korytarzu jakiś cywil. Też tak jak i on szczupłutki, niewysoki, na jeża ścięte blond włosy, stał i czekał na niego.

- Proszę Księdza, możemy porozmawiać? – zagadał nieśmiało.
- O czym? – spytał zaskoczony.
- O nich – wskazał głową drzwi do aresztu.
- O nich zawsze mogę mówić – duchowny skinął na znak zgody.

Weszli do pokoju obok – małego dyskretnego pomieszczenia i usiedli przy niedużym stoliku naprzeciwko siebie. Długo mie-

rzyli się badawczym wzrokiem, aż wreszcie nieznajomy zaczął rozmowę – Ja mogę im pomóc, ale to zależy od Księdza.

– Nie rozumiem, proszę jaśniej!

– Mogę doprowadzić do zwolnienia tych szczeniaków, jeśli Ksiądz zgodzi się z nami współpracować.

– Co?! – duchowny zerwał się z miejsca – nigdy!!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Minęły trzy bardzo długie dni dla księdza Józefa. Ciągle w myślach powracała tamta rozmowa, na przemian ze scenami ze spotkań z uwieczonym dzieciakami.

Andrzej, Marek, Tomek, Marzena i Anka to były ich imiona. Pozwolono mu spotykać się z nimi z każdym z osobna, co umożliwiło prowadzenie długich rozmów, a im dłużej z nimi przebywał, tym bardziej upewniał się w przekonaniu, że to jeszcze dzieci niegotowe do dużych poświęceń dla wielkich spraw. Żalowali swojego wyczynu i czuli, że mieli do niego cichą pretensję. Obwiniali go skrycie i on też miał coraz większe wyrzuty sumienia.

Następnego dnia pojechał do kurii, by spotkać się z biskupem lubelskim. Będąc ulubieńcem środowiska miał łatwy dostęp do hierarchów kościelnych i po półgodzinnym czekaniu przyjął go Biskup Andrzej Klubowicz.

Dostojnik ten był bardzo nie lubiany przez SB za swoje polityczne kazania, ale tak popularna postać była nie do ruszenia. Może 65 letni, niski, grubawy, a na domiar wszystkiego kompletnie łysy mężczyzna siedział przy biurku i coś pisał. Na widok przybysza podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Siadaj! – wskazał ręką fotel tuż obok siebie.- Nie często prosisz o rozmowę, więc coś ważnego musiało wydarzyć się.

– Tak ekscelencjo! – ksiądz wydusił z siebie. – Zżera mnie sumienie, zabija mnie, nie radzę sobie i potrzebuję pomocy.

– Co się stało? – biskup odłożył pióro i skupił wzrok na gościu.

– To sprawa tych studentów, siedzą w więzieniu właściwie przeze mnie.

– Nie rozumiem, mów proszę jaśniej.

– Tak. Otóż Eminencjo, to byli moi najlepsi uczniowie, przychodzili nawet po godzinach i rozmawialiśmy o sytuacji w kraju, o bolszewikach, o ucisku narodu. Wszystko im przedstawiałem zgodnie z prawdą, ale to im podgrzało za bardzo umysły i postanowili przysłużyć się Ojczyźnie, no i później była ta cała afera.

– Ale nie namówiłeś ich do tego czynu?

– Nie, ale dałem im podkład pod te działania. Gdybym nie uświadamiał, teraz cieszyliby się wolnością, a ich rodziny nimi. To wszystko moja wina i muszę im pomóc.

– Ależ to nie twoja wina synu – hierarcha wolno dobierał słowa – widzisz, jesteśmy w niewoli już wiele lat i musimy nauczać by przetrwać, inaczej naród by zginął. Zawsze będą głupie ofiary i nikt temu nie zapobiegnie. Pamiętaj jednak, że ich tragedia nie pójdzie na marne.

– Nie! Ja tak nie mogę – zaprotestował – oni mają całe życie przed sobą.

– A jakie masz wyjście? Nie ma rozwiązania, episkopat ujął się za nimi, a Gierek odmówił. Chcą pokazać innym, że nie ma co liczyć na łaskawość władz.

– Jest wyjście! – szepnął młody duchowny.

– Mów jaśniej – biskup dosłownie przesywał wzrokiem swojego ulubieńca.

– Trzy dni temu zaproponowano mi układ.

– Jaki układ człowieku?

– Moja dusza za ich wolność – wyrzucił z siebie Józef.

– Chcesz sprzedać się w zamian za ich wolność? – dosłownie ryknął gospodarz.

– Nie chcę, ale jeśli to ich uratuje, to będę zmuszony – wyszeptał ksiądz i spuścił głowę.

– Czyś Ty człowieku postradał zmysły? Ty, najzdolniejszy z młodego pokolenia, nadzieja nasza na przyszłość chcesz wszystko zaprzepaścić? Przed Tobą dostojeństwa, o jakich mi się nie śniło, a Ty to wszystko chcesz zdeptać? Przerażasz mnie – biskup zderwowany zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju – to nie-

możliwe, jeszcze raz powtarzam, że to nie twoja wina. Przemysł to wszystko do jutra i bądź tu o 11.

– Tak Eminencjo i przepraszam – młody duchowny skłonił się i szybko ruszył do wyjścia.

Rozmowa ze swoim przełożonym mocno namieszała mu w głowie. Wiedział, że jest lubiany, ale nie przypuszczał, iż z jego skromną osobą są związane jakieś plany episkopatu.

Jeszcze tego samego dnia poszedł odwiedzić dzieciaki i ponownie spotkał człowieka, który wcześniej zaproponował mu ten układ. Spotkały się ich spojrzenia, ale dziś nie było już we wzroku naszego bohatera tej wzdargy i potępienia, był tylko wielki smutek.

Chłopcy trzymali się lepiej od dziewczyn, ale ogólnie było bardzo źle.

– Nie martwcie się – pocieszał ich – Bóg czuwa i nie da wam zrobić krzywdy, zobaczycie.

– Łatwo księdzu tak mówić jak jest na wolności – odparł jeden z nich, a jego serce przeszły potworny ból.

– Masz rację – odparł – i dużo bym dał, by móc się z wami zamienić.

– Przecież my mamy zniszczone życie – zapłakał Tomek – pięć lat z degeneratami w celi, a później trzy lata w najgorszej jednostce. Bez zawodu i z wyrokami w przeszłości nie znajdziemy pracy, co mamy wtedy ze sobą zrobić?

– Miej nadzieję, nie załamuj się – o zgrozo, brakło mu argumentów – Obiecuję, że wyjdziecie – wyrwało mu się mimochodem.

– Obiecuje ksiądz? – wyczuł nadzieję w tych słowach, oni jednak jeszcze mu wierzyli.

– Tak – odparł stanowczo i w tym momencie zapadła decyzja w jego duszy.

Nie mógł spać tej nocy, śniły mu się jakieś koszmary, czuł się poobijany, jakiś brudny. Bał się jutrzejszej wizyty w kurii i tego,

co usłyszy od biskupa, kiedy poinformuje go o swojej decyzji. Szkoda było mu świetnej przyszłości, a jeszcze bardziej ludzi, którzy pokładali w nim swoje nadzieje. Pot lał się z niego strumieniem, rano ledwo zwał się z łóżka. Ani prysznic, ani dobre śniadanie nie poprawiło jego kondycji fizycznej i psychicznej, czuł się podle.

O 11 stawił się w Kurii. Czekano już na niego. Zakonnica pełniąca obowiązki szefowej sekretariatu natychmiast wprowadziła go na apartamenty zwierzchnika.

Tym razem Biskup nie był sam. W fotelu obok niego siedział nieznanym naszemu bohaterowi ksiądz. Zmierzył go nieufnym spojrzeniem, co nie uszło uwadze gospodarza.

– Nie krępuj się, ksiądz Raclawski zna sprawę i właśnie dlatego dziś tu jest. Czy podjąłeś już decyzję?

– Tak! – spuścił głowę jakby bał się wzroku szefa.

– No i?

– Muszę ratować dzieciaki! To mój obowiązek jako księdza!
– wyrzucił szybko z siebie.

– Poświęcisz wszystkie awanse i zaszczyty dla tych młodych ludzi? – dopytywał biskup, a twarz jego nie zdradzała żadnych uczuć.

– Tak, jeśli nie byłbym dobrym prostym księdzem, to tym bardziej nie mógłbym być kiedyś dostojnikiem kościelnym – odparł z przekonaniem.

– Wiesz o tym, że jeśli zawrzesz z nimi pakt, nie będziesz zmógł nigdy awansować mimo twoich wyjątkowych zdolności.

– Wiem, ale prości księża też są potrzebni.

– Tak – biskup uśmiechnął się – masz rację i cieszę się, że nie pomyliłem się odnośnie twojej osoby, szkoda, że Bóg tak pokierował twoim losem, chociaż nie powinienem krytykować decyzji Stwórcy.

– Ponieważ przewidziałem twoją decyzję, to tu obecny ksiądz Andrzej przeszkoli Cię jak zachować się w kontaktach z SB, by kościół miał też z tego jakąś korzyść.

– Korzyść? – oczy młodego duchownego zrobiły się jak filiżanki.

– Tak! – biskup znów się uśmiechnął. – Mamy wielu księży, którzy albo ugięli się władzy ze strachu, albo też dla ratowania innych. Skoro to już jest faktem, to może przynieść wymierne korzyści Kościołowi, a jakie to zaraz się dowiesz. Pamiętaj jednak o tym, że o Twojej roli podwójnego agenta będziemy wiedzieć tylko my dwaj.

– To ma plusy, ale i minusy – kontynuował biskup – jeśli wyszłaby twoja współpraca na jaw to my, jako bracia zaufania oczyścimy Ciebie z zarzutów. Jeśli jednak coś by się nam stało, to będziesz musiał dźwigać brzemię zdrajcy do śmierci, wszystko w rękach Boga.

– Rozumiem! – kiwnął głową i jednocześnie odetchnął z ulgą, że tak spokojnie przyjęto jego decyzję.

Po jakichś dwóch godzinach wyszedł z kurii i skierował się do aresztu. Tak jak zawsze pocieszał dzieciaki i obiecywał wybawienie. Był tak przekonujący, że nadzieja znów zagościła w ich sercach. Kiedy wychodził, ponownie zaczepił go ten sam funkcjonariusz.

– No, może ksiądz da się namówić na rozmowę? – zapytał.

– Może dam – odparł dwuznacznie.

– Proszę! – Tamten otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym spotkali się pierwszy raz. Weszli i tak jak wtedy usiedli naprzeciw siebie i ponownie mierzyli się wzrokiem.

– No i? – spytał tamten.

– Co no i?

– No i co robimy ze szczeniakami? Idą siedzieć na długie lata, czy wypuszczamy i zapominamy o wszystkim?

– Jeśli zgodzę się to daje Pan gwarancje, że wyjdą na wolność?
– duchowny wbił twardy wzrok w SB-ka.

– Oczywiście! – tamten wyraźnie ucieszył się. – Daję słowo!

– A ile jest warte Pana słowo?

– Tyle, co księdza! – odparł stanowczo. – Stoimy po przeciwnych stronach, ale to nie oznacza, że nie jestem słowny.

– Dobrze! – głos naszego bohatera zadrżał i widać było, że słowa te ciężko przechodzą mu przez gardło. – Proszę ich dziś wypuścić, a ja jutro podpiszę, co trzeba.

– Ależ to niemożliwe, najpierw podpis, później wypuścimy – zaprotestował funkcjonariusz.

– No to nici ze współpracy – ksiądz wstał i ruszył do wyjścia.

– Chwilka! – tamten zmiękł w jednej chwili, za długo czekali na taką okazję, by teraz głupio ją zmarnować. – Zgoda, zaraz wyjdą!

– Będę jutro o 11! – Odparł duchowny i nie patrząc się na swojego rozmówcę wyszedł pokoju.

Nie minęła godzina, kiedy ku zaskoczeniu i radości studentów niespodziewanie wypuszczono ich na wolność.

Czuli w tym rękę swojego duchowego opiekuna, ale nie mieli pojęcia, jaką przyszło mu cenę za to zapłacić i on sam jeszcze o tym nie wiedział.

I znów okropne sny, rzucanie się, poty i w konsekwencji potworny ból głowy nazajutrz. Czuł okropnego kaca moralnego, ale i ulgę, dzieciaki były na wolności.

Następnego dnia o umówionej porze stawił się w areszcie i w znanym już nam zacisznym pokoiku podpisał cyrograf. Od tej pory ksiądz Józef został tajnym współpracownikiem SB.

Przez pierwszy rok dali mu spokój, ale już na początku następnego, w połowie stycznia, otrzymał telefon, by stawiał się pilnie pod wskazanym adresem.

Zanim jednak pojechał na spotkanie, udał się do kurii, taka była umowa.

Odpowiednio przygotowany udał się pod wskazany adres. Było to małe mieszkanie na lubelskim osiedlu w tzw. mrówkowcu. Drzwi otworzył mu poznany wcześniej funkcjonariusz. Zasiadli do stołu i tak jak na pierwszym ich spotkaniu zaczęli mierzyć się wzrokiem.

– Proszę Księdza, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale naprawdę nie będzie źle. Ja jestem po cichu katolikiem, moi Rodzice siedzą w pierwszej ławce w Kościele i też jako człowiek doceniam ten krok dla ratowania innych. My tak jak wszystkie działy w PRL-u mamy swoje plany do wykonania, które musimy wykonać, a jeszcze lepiej jak je przekroczymy. Raz na jakiś czas dam jakieś zadanie i otrzymam od Księdza jakiś meldunek. W chwili obecnej interesuje nas biskup lubelski i chciałbym otrzymać raport, w którym będzie wszystko o nim i jego bliskich współpracownikach.

– A jeśli odmówię? – spytał ksiądz.

– To niemożliwe, bo po pierwsze dzieciaki pójdą z powrotem do pierdła, a po drugie informacja o naszej współpracy przez przyodek wycieknie z naszej siedziby. Wie Ksiądz, co to by znaczyło? Straszne!!

– Na kiedy ma to być? – wycedził przez zęby.

– Jak najszybciej, najlepiej na pojutrze – odparł zadowolony SB-ek.

– Rozumiem! – duchowny wstał i ruszył do wyjścia.

– Do widzenia – krzyknął za nim funkcjonariusz, ale on nie odpowiedział.

Następnego dnia ksiądz Raclawski przygotował raport, który bardzo ucieszył Służbę Bezpieczeństwa, a dbałość o szczegóły świadczyła, że będzie pociecha z nowego współpracownika. Około roku trwała ta zabawa w ciuciubabkę, aż biskup wpadł na sprytny pomysł. Wezwał do siebie naszego bohatera i zakomunikował mu, że za tydzień przenosi go na parafię do niedużego miasteczka.

– Idziesz na ciężką placówkę i myślę, że jako tajny współpracownik załatwisz nam tu kilka spraw.

– Jakich spraw? – zdziwił się ksiądz Józef.

– Nie dają pozwolenia na budowę kościoła, nie możemy przebrnąć tego problemu od lat.

Myślę, że Tobie nie odmówią.

– Ale coś za coś – próbował protestować.

– Spokojnie damy im, co już mają – zaśmiał się gospodarz.

– Ale to trzeba ... – zawahał się ksiądz.

– Tak, trzeba mieć człowieka tam, u nich w gnieździe szatana i mamy tam człowieka, to nawrócony pułkownik, pomaga nam od lat.

– Sam już nie wiem wasza wielbność, kim jestem, zatraciłem własną tożsamość – żalił się nasz bohater.

– Na pewno to inna tożsamość niż wcześniej – odparł biskup – ale robisz cały czas dobrą robotę na rzecz Kościoła, zresztą miałeś wybór, więc teraz nie wybrzydaj.

– Wiem, ale czuję niesmak i codziennie rano jak się budzę, to mam kaca, kaca moralnego.

– Wiem, ale jest szansa na zrobienie wielu dobrych rzeczy i nie zmarnujmy tej okazji. Kiedy przyjdzie pora, kiedy będą inne czasy, a wierzę, że nadejdą, to oczyścimy Ciebie z podejrzeń i wrócisz w chwałę, obiecuję – biskup uścisnął serdecznie swojego ulubieńca.

– Oby – westchnął nasz bohater.

Decyzja o przeniesieniu narobiła niezłe zamieszanie w „Bezpiecze”, tego nie przewidzieli. Jednak po długich analizach stwierdzono, że to może być taka chwilowa odstawka przed skokiem do góry. Kościół często stosował tę metodę i należało teraz wszystko zrobić, by ksiądz Józef wykazał się na nowej placówce. Zmieniono oficera prowadzącego i przydzielono teraz kapitana Janusza Mroczkowskiego. On miał kierować całą operację wywindowania swojego agenta na same wyżyny hierarchii kościelnej, on odpowiadał za to swoją głową.

Miejscowość, do której przeniesiono duchownego była oddalona o jakieś czterdzieści kilometrów od Lublina. Duży ośrodek przemysłowy, nowe osiedla mieszkaniowe, mnóstwo ludności napływowej z całej Polski i tylko jeden kościół wybudowany w zupełnie innych czasach. Jednak nie to miejsce było celem podróży, a nędzny drewniany barak usytuowany między blokami. Gdyby nie duży stalowy krzyż górujący nad nim, to nikt nie byłby w stanie domyślić się, że to jest świątynia.

Ksiądz Józef stał jak zamurowany z wrażenia wypuszczając walizki z rąk i z przerażeniem patrzył na swoją właściwie pierwszą parafię. Nie przypuszczał, że może być aż tak źle, ale wtedy dopiero zrozumiał tok myślenia swojego zwierzchnika. To była ważna misja i jego naczelnym zadaniem było wybudować świątynię.

Już drugiego dnia podano mu adres kontaktowy, a czwartego odwiedził go nowy oficer prowadzący. Ten SB-ek był wyraźnie z wyższej półki niż poprzedni, co świadczyło, że jego pobyt tu poważnie potraktowały obydwie strony.

Około 15 ktoś zapukał do drzwi plebanii. Kiedy duchowny otworzył, zobaczył w progu wysokiego mężczyznę w wieku blisko pięćdziesięciu lat z gęstą szpakowatą czupryną, wystającymi kośćmi policzkowymi i małymi szarymi świdrującymi oczyma. Ubrany nienagannie w czarny garnitur bardziej przypominał księdza niż funkcjonariusza policji politycznej.

– Możemy porozmawiać? – zapytał grzecznie.

– Proszę – duchowny odsunął się robiąc miejsce nowoprzybyłemu.

Usiedli w kuchni przy stole, ale nie było ani kawy, ani też herbaty – to byłaby za duża uprzejmość. Mierzyli się wzrokiem jakby szacując się nawzajem. Gospodarz nie był zdziwiony widząc kogoś nowego ... przygotowali go na to w kurii. Zastanawiał się tylko, co z tego wyniknie, czy uda się plan wybudowania świątyni, ile nerwów i niesmaku będzie go to kosztowało.

Oficer zaś zastanawiał się, jak pokierować tym młodym księdzem, by od razu stąd awansował do Warszawy, a najlepiej do Watykanu. Jeden awans pociągał za sobą drugi ... jego.

– Proszę Księdza – zaczął – chciałbym, by nasza współpraca przebiegała bez problemu, bo wtedy obydwaj będziemy mieć spokój. Wiem jak do wszystkiego doszło i naprawdę jestem pełen uznania, bo sam nie wiem czy odważyłbym się na taki krok. Obydwaj jesteście ideowcami, ale los tak ustalił, że po różnych stronach. Kierują nami przecież podobne przesłanki. Moi koledzy

dziwią się, czemu nie popełnił Ksiądz samobójstwa, ale ten czyn jest przecież w kościele katolickim wielkim grzechem. Współczuję!

– Jeśli Pan tak lituje się nad moim losem, to proszę zostawić mnie w spokoju – wycedził mierząc SB-ka surowym wzrokiem.

– To nie takie proste – kapitan pokręcił głową. – To nie zależy ode mnie i jeśli nie ja, to ktoś inny zapuka do tych drzwi, a zobaczy ksiądz, że będzie ten okres mile wspominał.

– Mile? – wielkie zdziwienie odmalowało się na twarzy duchownego – pan ma duże poczucie humoru.

– No nie, przejęczyłem się – gość zreflektował się – chciałem powiedzieć milej!

– Dobrze, nie przedłużajmy tych uprzejmości – gospodarz tracił cierpliwość – proszę przejść do konkretów!

– Dobrze, już przechodzę – oficer zniżył głos – chciałbym, by ksiądz tu na terenie wymyślił coś, co wzbudziłoby zdenerwowanie władz, a z drugiej strony wzbudziło euforię ludzi.

– Czy ja dobrze słyszę? – kapłan udawał zdziwienie – Pan mnie namawia do działalności wywrotowej?

– Tak, chcemy wzmocnić pozycję Księdza, chcemy wypromować wielkiego duchownego, człowieka godnego szacunku i uwielbienia przez elementy wywrotowe.

– Koszmar! – szepnęła gospodarz i ukrył ręce w dłoniach. – To chyba koszmarny sen!

– Nie chcemy nic za darmo – kapitan próbował zachęcić swoją ofiarę – zapłacimy za straty moralne, możemy nawet w dolarach jakby np. ksiądz chciał jechać na wycieczkę do Watykanu.

– Naprawdę, uważa Pan, że wszystko można kupić za pieniądze?

– Myślę, że tak – odparł Mroczkowski – tylko kwestia ceny!

– Oj, nie – nasz bohater pokiwał smutnie głową – nie wszystko!

– Co chcecie, jaki jest wasz plan?

– Myślmy intensywnie i prosiłbym, by ksiądz też myślał na ten temat.

– Dobrze, wiem że mam z wami umowę i jej dotrzymam – duchowny wstał dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

I znów minęło trochę czasu. I znów były konsultacje w kurii. I znów było oczekiwanie na następne spotkanie. W tym czasie ksiądz Józef poznawał swoją parafię i jej jakże zróżnicowaną społeczność. Rosło nowe pokolenie i naprawdę by mogło rozwijać się zgodnie z historią i tradycją musiało powstać miejsce konsolidujące tych wszystkich ludzi, nowa świątynia.

Zastanawiał się nieraz czy to, co robi jest właściwe, ale z drugiej strony uratował życie pięciu młodym ludziom, a teraz rozpoczął batalię o budowę nowego kościoła, w którym będzie można opiekować się duszami tysięcy ludzi. Wielkie dzieła, a ofiara jedynie w postaci jego żywota, jego myśli, sumienia. Bóg tak chciał, bo gdyby była inna jego wola to uniemożliwiłby mu jego działania.

Tak to go uspokajało i wzmacniało psychicznie przed każdym spotkaniem z oficerem SB.

Może na trzecim, postanowił uderzyć frontalnie. Przygotowywał się do tego bardzo starannie, musiał mieć odpowiedzi na wszystkie ewentualne pytania i to od razu, jak z automatu, musiał być wiarygodny, bo tylko taka postawa nie powinna wzbudzić podejrzeń.

Spotkali się wczesnym popołudniem na plebanii. Kapitan był bardzo podekscytowany, ponieważ pierwszy raz to duchowny chciał się spotkać.

Tak jak za pierwszym razem usiedli przy tym samym małym okrągłym stole i zanim zaczęli rozmowę, w milczeniu badali się wzrokiem. Ciszę przerwał oficer, ciekawość rozsadzała go od środka.

– Jakie wieści ksiądz ma dla mnie?

– Miałem coś wymyślić i wymyśliłem – wyrzucił z siebie kapłan.

– No i? – Mroczkowski nie mógł już wysiedzieć na krześle.

– Zamieniam się w jedno wielkie ucho.

– Wybuduję tu przy waszym sprzeciwie Świątynię! – wydusił bacznie obserwując esbeka.

– Co, proszę? – tamten nie dowierzał własnym uszom – ksiądz robi ze mnie idiotę? Jestem oficerem, a nie jakimś durnym milicjantem na wiejskim posterunku, któremu można wcisnąć taki kit!

– Podobno chcieliście wzmocnić moją pozycję, a co bardziej wzmocnia od wystawienia Świątyni wbrew władzy. Wzbudzę podziw i szacunek ludu, a co za tym idzie przeniosą mnie zaraz gdzieś wyżej – nasz bohater powiedział bardzo stanowczym głosem.

Zaległa cisza. Kapitan przeżuwał pomysł, a duchowny obserwował go bacznie. Twarz pierwszego z nich pokazywała dobitnie, że toczy się tam walka między zaślepieniem nienawiścią a lisim sprytem. Trwało to dobrą chwilę i w końcu lisek zwyciężył.

– Zgoda! – odparł – ale muszę jednak uzyskać jeszcze pozwolenie góry, to za poważna sprawa bym działał samodzielnie.

– Rozumiem! – kapłan kiwnął głową.

Nie było więcej tematów do omówienia i na tym spotkanie zakończyło się.

Dwa dni później odbyło się spotkanie w kurii.

Wąskie grono znanych nam już trzech osób zaszyło się w apartamentach biskupich i omawiało strategię na przyszłość.

– Jak czujesz się w tej roli? – spytał zwierzchnik naszego bohatera przyglądając mu się uważnie.

– Paskudnie, czuję się naprawdę brudny – odparł – chwilami wydaje mi się, że sytuacja mnie przerosła, nigdy nie kłamałem, a teraz robię to często. Mało tego, będę musiał odegrać komedię z walką o świątynię.

– Stop! – przerwał mu biskup. – To jest walka, ale walka na inteligencję.

– Ale czy cel uświęca środki? – nie rezygnował.

– Nie! – zaprzeczył gospodarz. – Jedyne co boli, to to, że będziemy musieli odegrać komedię, oszukać tyle osób, ale pomyśl sam, że bez ofiar wybudujemy nowy piękny kościół i to tam, gdzie naprawdę jest potrzebny.

– Ale musicie mnie potem zaraz stamtąd zabrać, nie zniosę patrzenia w twarz tyłu oszukanym.

– Tak i o to przecież chodzi władzom, przeniesiemy Ciebie, albo do Watykanu, albo do Warszawy. – odparł dostojnik kościelny.

– Nie, wolałbym na jakąś nędzną parafię, na terenie której nie będzie nic ciekawego i wreszcie będę mógł być prawdziwym księdzem.

– To chyba już niemożliwe – wtrącił się ksiądz Raławicki.
– Jesteś nam bardzo potrzebny, bo dzięki Tobie będziemy zorientowani co władza szykuje przeciwko nam. Najprędzej posłużymy się Tobą w Watykanie. Tam jest nasz papież i tym bardziej musimy pilnować naszego skarbu narodowego.

– Na Papieża nikt się nie targnie – zaprzeczył nasz bohater.

– W tym systemie wszystko jest możliwe – odparł biskup.
– Dłużej żyję i więcej widziałem i wierz mi, że wszystko jest możliwe.

– To mnie przeraża! – wydusił zdętwiały ze strachu ksiądz Józef.

– Nas też!

Minęły trzy długie lata. Nasz bohater dzięki nieświadomej podstępnie SB wybudował piękny kościół, a wdzięczni parafianie nosili dzielnego proboszczach dosłownie na rękach. W sumie był bardzo dzielny człowiekiem, ale jego zasługi były zupełnie inne niż myślał ogół. W podziękę za wielkie dokonania został przeniesiony do Watykanu, ale tak naprawdę okres watykański był jednym z trudniejszych w jego życiu.

Na początku musiał pokonać bariery językowe i dopiero wtedy poczuł się lepiej na tym wyjątkowym terenie. Tu przecież mieszkala głowa Kościoła. Jego głównym zadaniem było czuwanie, obserwowanie i markowanie współpracy z komunistycznym wywiadem. Wiadomo było, że za granicą przejmie go inny człowiek, rezydent w Rzymie i tak się stało. Po pół roku w jego rzymskim mieszkanku zadzwonił telefon. Niejaki pan Kowalski prosił o spotkanie w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Coś tu śmierdziało na odległość, ponieważ numer tego telefonu nie figurował w żadnej książce telefonicznej. Spotkali się w małej knajpce w samym centrum Rzymu. Do siedzącego przy małym stoliku i pijącego kawę duchownego podszedł młody wysportowany mężczyzna. Mocno opalony, krótko wystrzyżony w cienkim lnianym garniturze

w kolorze jasnego beżu nie wyróżniał się zbyt wiele wśród rodowitych Rzymian.

– Można przysiąc się księżu Józefie?

– Proszę – duchowny wskazał wolne krzeselko, a tamten szybko usiadł.

Mierzyli się przez chwilę ciekawym spojrzeniem, ale czas nagle i nowoprzybyły rozpoczął rozmowę.

– Jestem major Olszewski i teraz ja będę prowadził Księdza. Cieszę się, że tak dobry współpracownik przyjechał do Watykanu, bardzo nam się ksiądz przyda i oczywiście my zrewanżujemy się za to. Na pewno będzie ksiądz zadowolony.

– Na pewno – odburknął po cichu.

– Mówił coś Ksiądz? – spytał tamten. – Nie dosłyszałem.

– Nie, to tylko modlitwa – odparł kapłan – często się modłę o Wasze dusze.

– Spokojnie! – zaśmiał się oficer. – Bez modłów dobrze żyję, ale na pewno i to nie zaszkodzi.

– Może pomoże – ksiądz przebił tamtego groźnym wzrokiem.

– Ale wróćmy do tematu – esbek wyraźnie spieszył się. – Proszę o raporty na temat Papieża, wszystko co ksiądz wie.

– Co chcecie od Jana Pawła? – naszego bohatera ogarnęło wzburzenie.

– Spokojnie!- uspakajał go rozmówca. – Chcemy go ochraniać, przecież to nasz rodak.

– Ma od tego swoich ludzi, a Wy go zostawcie w spokoju – natarł z furią na majora – nie będę donosił na niego, nie ma mowy.

– Spokojnie – tamten starał się rozładować sytuację – dają słowo, że chodzi o bezpieczeństwo papieża.

– No dobrze – uspakajał się – wierzę Panu.

– Na dziś wystarczy, już idę – mężczyzna widząc wzburzenie kapłana, wstał i rzucił na odchodne – zadzwonie! – A po chwili zniknął w tłumie przechodniów i turystów.

Po godzinie duchowny zameldował się w Watykanie u księdza Raclawickiego, którego razem z nim tu oddelegowano.

– Skontaktowali się ze mną – zakomunikował – są bardzo zainteresowani naszym Papieżem, twierdzą, że dla ochrony.

– Tak, zawsze co innego mówią i co innego robią – odparł gospodarz. – Na jutro coś przygotuję, ale musimy zachować dużą czujność, to nie przelewki. Polski wywiad nic nie robi, ale mogą pracować dla KGB.

– Proszę mi powiedzieć – nasz bohater zapytał niepewnie – czy wśród nas są prawdziwe szpicle, które donoszą za pieniądze?

– Tak, wszędzie są tacy ludzie, a przecież do nas przychodzą zwykli ludzie nie pozbawieni swoich ułomności. Życie i pokusy dnia codziennego weryfikują ich skłonności i niestety nieraz płacimy za to bardzo dużą cenę, nieraz za wysoką. Wokół Jana Pawła też są tacy, ale też jest kilku takich jak Ty. Nic o sobie nie wiesz i musi tak pozostać dla waszego bezpieczeństwa. Część kapłanów zastraszone i teraz tylko markują współpracę pisząc nic nieznaczące raporty. Ci są niegroźni dla nikogo, chyba, że przez przypadek coś wyapała, ale to może przytrafić się każdemu.

Na tym wizyta zakończyła się.

Czas leciał, ciągle powstawały nowe pięknie spreparowane raporty, SB cieszyło się ze współpracy, a ksiądz Józef bacznie obserwował wszystko, co działo się w środowisku polskim. Bardzo pomocna była mu w tym wspaniała pamięć wzrokowa, zwracał szczególną uwagę na częściej powtarzające się twarze. Ci, co kręcili się za dużo, wzbudzali jego czujność.

Na początku 1981 roku zauważył kilka znajomych, dziwnie podpadających twarzy. O tyle było to dziwne, że z Polski nie było łatwo wyjechać i nikt praktycznie nie jeździł kilka razy w roku do Watykanu. Jakie Ci ludzie musieli mieć znajomości by tu dotrzeć, chyba, że byli funkcjonariuszami SB.

Poinformował o swoich obserwacjach księdza Raclawickiego, ale nie potraktował ich z należytą uwagą. Późną wiosną coś czuło było w powietrzu, twarze wracały i nie zamierzały opuścić Wiecznego Miasta, tak jakby na coś czekały. Major Olszewski coraz

natarczywiej cisnął go o raporty na temat Papieża, a w szczególności o planowanych wizytach. Coś tu nie grało, tylko co?

Minął kwiecień i nic się nie wydarzyło, ksiądz Józef zaczął uspakajać się.

Znowu wszystko odżyło, kiedy przez przypadek zobaczył majora Olszewskiego wsiadającego do samochodu z ambasady ZSRR. Nie wsiadał sam, ale w towarzystwie trzech bardzo nieciekawych osobników o dosyć ciemnej karnacji skóry, bardzo przypominających Arabów.

Pobiegł do Watykanu i podzielił się swoim niepokojem z księdzem Raclawickim. Tamten jednak uspokajał go, przypisywał wszystko jego zbyt dużej wyobraźni.

13 maja wybuchła bomba – zamach na Papieża wstrząsnął Światem, a jeszcze bardziej naszym bohaterem. Miał rację, coś było w przygotowaniu i to było to coś.

Teraz wszyscy trzymali kciuki za rannego i tak trwało kilka tygodni. Bezpieka wycofała rezydentów z Rzymu, wszystkie kontakty z SB zamarły. Tak było około roku.

Ksiądz Józef został pilnie wezwany do Polski, ponieważ zmarł biskup lubelski – jego wieloletni opiekun i mentor. Sytuacja w wyniku śmierci dostojnika zrobiła się bardzo nieciekawą. Jedynym wtajemniczonym był obecnie ksiądz Raclawicki, a to nie mogło tak zostać, to było niebezpieczne.

Obydwaj postanowili do całej sprawy dopuścić następną zaufaną osobę. To wszystko ustalono na pogrzebie i ich wybór padł na biskupa tarnowskiego, człowieka roztropnego i na pewno nie mającego konszachtów z SB. Umówiono spotkanie w kurii tarnowskiej i obydwaj, ale osobno udali się do hierarchy kościelnego. Niestety z niewyjaśnionych dotąd przyczyn potężny tir wjechał czołowo w pojazd kierowany przez księdza Raclawickiego, co doprowadziło do natychmiastowej śmierci ostatniego strażnika tajemnicy księdza Józefa.

Stojąc nad trumną wieloletniego znajomego, a właściwie przyjaciela nasz bohater wspomniawszy słowa biskupa lubelskiego sprzed

wielu lat: „jeśli jednak coś by się nam stało, to będziesz musiał dźwigać brzemień zdrajcy do śmierci”. Teraz wiedział, że spełnił się najczarniejszy scenariusz jego życia, nie potrafi udowodnić swojej misji, świadkowie nie żyją.

– Boże – szepnął – już tylko Ty wiesz jak było naprawdę i tylko w Twoich rękach moja przyszłość.

Następne kilka lat przesiedział w Rzymie, ale już nie był niepokojony przez nikogo.

Czasy zaczęły zmieniać się powoli, służba bezpieczeństwa straciła zęby, ludzie zaczęli czuć powiew wolności. Szły inne czasy. W 1989 roku legł w gruzach stary system i zaczęło tworzyć się nowe. Jak to nowe, rodziło się w bólach, ale co najciekawsze tak jak zawsze w Polsce wszystko na odwrót... największy ból był nie przy porodzie, ale dużo, dużo później.

Nasz bohater wrócił do kraju i objął parafię w rodzinnej miejscowości. Wreszcie po tylu latach służby dla kościoła zaczął pełnić służbę dla ludzi. To było jego powołaniem i wreszcie był szczęśliwy. Jedno tylko nie dawało mu spokoju, powtarzające się informacje o chęci otwarcia teczek, to go naprawdę przerażało. Była to jak na razie kiełbasa wyborcza i zaraz po wyborach temat przysychał. Niestety, ale tylko przysychał, by wszystko wybuchło po 17 latach i to ze zdwojoną energią.

12 maja 2006 roku w lokalnej prasie na pierwszej stronie ukazał się artykuł pt. „Ksiądz Józef Pacior długoletni agent SB”. Kiedy gazeta dotarła na plebanię i duchowny spojrział na okładkę, nogi ugięły się pod nim, wszystko zawirowało i runął nieprzytomny na podłogę. Po chwili ocucono go i jakoś doszedł do siebie. Czytał i własnym oczom nie wierzył. Głównym informatorem był agent SB w stanie spoczynku, ten sam, który zaproponował mu współpracę. Jego wypowiedź była stekiem kłamstw i pomówień. Na potwierdzenie słów funkcjonariusza umieszczono wywiady z tymi, których ksiądz Józef uratował podpisując cyrograf. Potwierdzili, że kapłan miał nieograniczony dostęp do nich, że jego wpływy

u władz umożliwiły ich zwolnienie i że jego współpraca była wi-
doczna gołym okiem.

– Straszne! – wyszeptał. – Nic tak nie boli jak plucie ludzi, dla
których zmarnowałem całe swoje życie. Dlaczego wyparli się go
jak Piotr Chrystusa, dlaczego? Wielkie łzy spływały mu po po-
liczkach, wzruszenie ścisnęło w gardle, żal wypełniał duszę. Usiadł
w fotelu, przegrany, załamany ludzką bezduszością. Poczł się
stary i wypalony.

Wtem zadzwonił telefon. Wolno podszedł do aparatu i z wa-
hanieł podniósł słuchawkę. Wtedy usłyszał stek przekleństw i po-
grózek – Spalimy Cię Ty kapusiu! Ty donosicielu! Połamiemy Ci
kości! – odruchowo rzucił słuchawkę.

Chwycił się oburącz za głowę i szeptał – Boże daj mi siłę, bym
dźwignął brzemieł zdrajcy, bo przecieł nim nie byłem.

Znowu zadzwonił telefon i z jeszcze wiełszym strachem ode-
brał połączenie. Tym razem dzwonił sekretarz biskupa z informa-
cją, że hierarcha oczekuje go jutro o 10. Jeszcze niedawno
zwierzchnik dzwonił osobiście, nigdy nie wyręczał się innymi,
prawie się przyjaźnili. Ten jeden oszczerczy artykuł zgniół wszystko.

Zrezygnowany usiadł na krześle i nagle ktoś zapukał do drzwi.
Ostrożnie otworzył je i zobaczył w progu Ojca.

– Uf! Jednak przyjechał mnie pocieszyć, nie opuścił mnie w bie-
dzie – pomyślał i uśmiech przez łzy pojawił się na jego obliczu.

Powitał rodzica, a po chwili usłyszał:

– Ty gadzie! Przyniosłeś wstyd całej rodzinie! Byliśmy dumni
z Ciebie! – ryknął stary na niego, zamazyście splunął mu w twarz,
odwrócił na pięcie i wyszedł. Stał oniemiały i patrzył na przygar-
bione plecy oddalającego się rodzica. Rozumiał ich rozgorycze-
nie, ta tablica na nagrobku miała być ukoronowaniem ich życia
na ziemi, a teraz jedyna jaka pasowała to „Leon i Albina Paciory
– rodzice kapusia”.

Odrętwiały, opluty dosłownie i w przenośni zamknął drzwi i jak
lunatyk poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Kiedy otworzył szaf-

kę zobaczył butelkę z koniakiem, jeszcze pamiątka z Watykanu. Wybrał alkohol, wyjął szklanke i nalał sobie okazałą porcję, którą, mimo że nie lubił mocnych trunków, wypił za jednym razem. Potworne gorąco rozlało mu się po gardle i przełyku, straszne uczucie, ale po chwili poczuł jakąś dziwną lekkość głowy. Nie namyślając się dłużej nalał ponownie i znów cała zawartość szklanki zniknęła w jego ustach. Nie minęły trzy minuty, kiedy zachwiał się, lewą ręką chwycił brzeg stołu, po czym ciągnąc za sobą obrus wraz z naczyniami zwałił się na podłogę. Leżał i myślał. Mimo dużej dawki trunku i w wyniku tego porażenia narządów ruchu mózg pracował na najwyższych obrotach. Cofnął się wiele lat do tyłu analizując swoje życie i nie znalazł praktycznie nic, czego miałby się wstydzić. Niefortunnie ułożyło się z tymi dzieciakami, przez które podpisał cyrograf, ale dzięki temu dużo zrobił dla kościoła chociaż były to działania, o których wiedziały tylko dwie osoby poza nim. Wyrzekł się kariery, dostojeństw i spokojnego życia dla misji, którą został obdarowany. Teraz przez pechowy zbieg okoliczności został napiętnowany i osądzony. Myśli kłębiły mu się w głowie, ogarniała go rozpacz i wątplenie, oczy szczypały od łez, niebezpieczne dla jego życia pomysły wracały jak bumerang, ale na szczęście duża dawka koniaku uspiła naszego bohatera zanim nie popełnił jakiegoś głupstwa.

W tym samym czasie w olbrzymim gmachu IPN z rozmachem otworzyły się drzwi i wychyliła się z nich urzędniczka, a jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie w czarnym grubym garniturze.

– Proszę niech ksiądz wejdzie, już przygotowaliśmy ksero tych dokumentów – zwróciła się do niego. Wstał powoli z krzeselka i wszedł do sekretariatu. Na ladzie odgradzającej pracowników od petentów leżał plik teczek.

– To wszystko na temat tej osoby – wskazała kupkę – przepraszam, ale jak zapoznałam się z tym wszystkim to trudno wymówić słowo „ksiądz”.

– Rozumiem Panią – odparł ksiądz Gromowski. – Jednak ten człowiek żyje i może się nawrócić jak chociażby Magdalena, która później została świętą.

– Może i tak – odparła niebyt przekonana kobieta.

– Proszę tu pokwitować odbiór materiałów – wskazała miejsce na dole jakiejś kartki i podała długopis.

– Dziękuję w imieniu biskupa – rzucił na pożegnanie duchowny, chwycił dokumenty i szybko opuścił biuro.

Następnego dnia nasz bohater wyruszył do Lublina. Przejeżdżając przez miasteczko widział ciekawe, nieprzyjemne spojrzenia swoich parafian odprowadzające jego samochód i czuł się z tym bardzo źle. Już o 10:30 stawił się w kurii. Nerwowo wiercił się na krześle czekając na biskupa, miał złe przeczucia, a zresztą czy były podstawy do dobrych? Punkt jedenasta został poproszony na apartamenty zwierzchnika.

Ostatni raz był tu za życia poprzedniego biskupa, były to zupełnie inne czasy, czasy gorsze, ale okoliczności dla naszego bohatera zupełnie inne.

Wtedy czekało na niego wąskie grono przyjaciół, a teraz pięciu zupełnie nieznanym mu księżom. Poczł się bardzo nieswojo, czuł się jak podsądny na sądzie kapturowym.

– Proszę usiąść – biskup wskazał miejsce przy biurku, na którym leżał stos teczek.

– Czy Ksiądz wie, co to jest? – spytał, kiedy ksiądz Józef usiadł we wskazanym miejscu.

– Nie – zaprzeczył, chociaż czuł pismo nosem – nie mam pojęcia.

– Proszę przejrzeć – biskup zachęcał do lektury, a jego głos i mina nie wróżyły nic dobrego.

Otworzył pierwszą z nich i od razu dreszcz przeszedł przez jego plecy. Sterta raportów, a na samym wierzchu donos na Jana Pawła II. Zbladł, a następnie uderzyło mu gorąco do głowy, czuł jak czerwienieje. Podniósł wzrok i spojrzał na obecnych. Zobaczył przed sobą grono sędziów, którzy wydali już na niego wyrok,

to widać było w ich oczach. Czy miały sens jakieś tłumaczenia? Kto uwierzyłby w całą tę historię? Czy warto ją opowiedzieć?

– Czy ma Ksiądz coś do powiedzenia na ten temat? – grobowy głos hierarchy rozległ się w pomieszczeniu.

– Czy jest sens, bym wytłumaczył wszystko? – nasz bohater wycodził przez zęby, żal i rozpacz ścisnęły go w gardle.

– Chyba nie ma sensu! – biskup krótko podsumował sytuację. – Proponuję dwa rozwiązania do wyboru: jedno to pobyt w jakimś klasztorze, ale raczej to odradzam, bo nie opędzimy się od dziennikarzy, a drugie – to wyjazd na misję do ośrodka trędowatych w Indiach. Byłaby to szansa na odkupienie swoich win, byłby tam ksiądz nieznany i mógł normalnie funkcjonować, tu w kraju to już niemożliwe. No cóż, Chrystus wybaczył Judaszowi, to i my musimy okazać łaskawość.

– Wybieram Indie – odpowiedział bez namysłu. – Jednak przesłanki mojego wyboru są zupełnie inne niż ktokolwiek by przypuszczał. Jestem księdzem i dlatego z chęcią będę pomagał chorym, poddam się karze z przyjemnością z tego powodu, a nie dlatego bym czuł się winny. Prawdę niestety zabrał do grobu poprzednik waszej eminencji biskup Klubowicz.

– Proszę zostawić zmarłego w spokoju, nawet na niego ksiądz donosił! – wykrzyknął oburzony jeden z duchownych.

Józef uśmiechnął się ze smutkiem i wyszeptał słowa swojego mentora „będziesz dźwigał brzemień zdrajcy do końca życia”.

LEKARZ

15 maja w świętej Zofii roku pańskiego 1954 w Warszawie w rodzinie inteligenckiej od wielu pokoleń, przyszedł na świat Franciszek Ochoczy. To dziwne imię nadano mu po cesarzu Franciszku, ale dlaczego akurat po nim to tego już nikt nie pamiętał. Dziecię to było jedynym potomkiem Anny i Tadeusza Ochoczyc. Nazwisko wprowadza w błąd, bo nie byli zbyt ochoczy do rozmnażania się i poprzestali na juniorze. W sumie może i dobrze, gdyż dziecko jak opowie nam ta historia nie było zbyt udane, mało tego, było kompletnie nieudane.

Wróćmy jednak do początku, a właściwie do dzieciństwa, które młody pomiot zgniłej inteligencji miał wspaniałe jak na tamte czasy – czasy silnej komuny. Tatuś lekarz specjalista tłukł kasę gdzie się dało i jak się dało. Wszystkie baby stare, młode biegły ciągle ochoczo do Ochoczego i Ochoczej, która będąc dentystką przyjmowała pacjentów na tym samym fotelu tylko w innych godzinach. Obsługa kompleksowa i kompleksowo drenowano pieniądze z kieszeni klientów. Była kasa, to były piękne wakacje w Bułgarii, ciągle nowy Fiat 125 lub Łada w garażu. Młody dorastał w przepychu, džinsy z Pewexu, rower Jaguar, magnetofon szpulowy, a kiedy skończył 17 lat dostał ... samochód. Świadectwa w podstawówce dostawał za leczone tyłki i zęby. W ogólniaku to nie wystarczyło i Tatuś musiał zrobić kilka skrobanek, w tym sekretarce sekretarza, by zapewnić synkowi platformę startową na studia, czyli maturę. Matura, maturą, ale co dalej?

Zrobiono zebranie rodzinne, wzięto synka na poważną rozmowę, ale w ogniu krzyżowych pytań zawisł na tym krzyżu jak pierwsi chrześcijanie i nic z tego nie wynikło.

Decyzję jak zwykle musieli podjąć rodzice. Wybór padł na medycynę, ale nie myślcie, że to było takie proste. Zrobiono tzw. plan studiów i egzaminów, a polegał on na przeanalizowaniu wszystkich możliwych dojsć do wykładowców, dojsć na zasadzie koleżeństwa i sponsoringu.

Budujący był zjazd rocznika taty, na którym odświeżono stare przyjaźnie i odnowiono spisy telefonów.

Tak ubezpieczeni (prawie jak w PZU) złożyli papiery potomka na Akademii Medycznej w Warszawie. Egzamin synuś zdał, kompletnym głąbem nie był i korki z chemii i biologii zaowocowały sukcesem. Zabrakło mu połowy punktów, ale to załatwił tatuś. Od października Franciszek rozpoczął studia. Wszystko wskazywało na to, że tradycja w rodzinie nie zaniknie i pałeczka lekarska przejdzie na syna. Pierwszy rok studiów szedł bardzo opornie, mimo zaangażowania dużych środków psychicznych i finansowych młody Ochoczy wisiał na przysłowiowym włosku, a kiedy włoski urywał się doszło do zdarzenia, które miało wpływ na włoski i nie tylko.

Milicja zrobiła nalot na akademiki i nakryła trzech chłopaków produkujących kompot. Proszę nie mylić z kompicikiem babuni, ten miał moc wściekłego byka i nic wspólnego z owocami.

Nasza zdolna młodzież potrafiła zrobić z niczego coś, ale tym razem nie szykowały się nagrody za pomyślunek i przedsiębiorczość, ale długoletnie więzienie, wyrzucenie z uczelni i wiele jeszcze innych niemiłych konsekwencji.

Młodzi chemicy znaleźli się na komisariacie milicji i zaczęły się bardzo długie męczące przesłuchania. Tu niestety rodzice nie mieli znajomości i zdenerwowani czekali wraz z innymi na korytarzu komendy spodziewając się najgorszego.

Podejrzani kręcili jak mogli, ale przy tak dużej ilości dowodów były to działania pozbawione logiki, co szybko zauważył Franciszek i diametralnie zmienił taktykę. Postanowił współpracować z milicją przeciwko swoim kolegom w zamian za pozostawienie na studiach. Układ zaakceptował komendant i zeznania naszego bohatera wypełniły duży skoroszyt. Nasz bohater przeszedł niesamowitą metamorfozę, ponieważ z przywódcy grupy przerodził się w ofiarę siłą zmuszoną do produkcji narkotyków. Jego zeznania kompletnie pogrzyżyły kompanów i już nie wrócili do domu w odróżnieniu od niego, jego zabrali rozradowani Rodzice.

– Biedny synek – matka żaliła się nad potomkiem głaszcząc go po twarzy. – Ci dranie wykorzystali naszego Franciszka. Dobrze, że milicja zamknęła tych łobuzów.

– Spoko mammo – uspakajał – mnie nie tak prosto załatwić, mam spryt po tatusiu.

– No, no – obruszył się ojciec. – Spryt sprytem, ale narkotyki to poważna sprawa i myślę, że to co powiedziałaś na milicji to prawda? – Spojrzał w lusterko, chciał zobaczyć twarz syna.

– Oczywiście tato – odparł, a żaden mięsień nawet nie drgnął na jego twarzy. – Wszystko to prawda.

– Oby! – westchnął stary Ochoczy, który niestety za dobrze znał swojego syna, by we wszystko co mówi wierzyć bezgranicznie.

No i synuś przebrnął pierwszy rok zaś jego kumple od kompociku dostali po cztery lata i to bezwzględnej odsiadki. Dobił kumpli w sądzie, przez co zaskarbił sobie ich dożgonną „wdzięczność”, czego nie omieszkali oznajmić podczas rozprawy. Junior nie przejmował się tym zbytnio. Władza rozwinęła nad nim skrzydła opieki i czuł się pewnie.

Milicja ściśle współpracowała ze Służbą Bezpieczeństwa i wiadomość o młodym Ochoczym – ochoczym do współpracy z organami ścigania została przekazana dalej. Na drugim roku studiów, bodajże w grudniu nasz bohater dostał oficjalne wezwanie do stawienia się w trybie pilnym na posterunku Warszawa Śródmieście. Oznaczonego dnia i o oznaczonej godzinie zameldował się na dyżurce. Skierowano go do pokoju nr 12 na parterze po lewej stronie na końcu korytarza. Stał przed brudnymi kremowymi drzwiami, chwilę zawahał się, a następnie energicznie zapukał.

– Proszę! – usłyszał ze środka, nacisnął klamkę i znalazł się w małym, obskurnym pomieszczeniu. Maksimum 12 m kwadratowych zastawionych zniszczonymi meblami biurowymi pamiętającymi chyba wczesnego Bieruta, duża lampa do przesłuchań przytwierdzona do obdrapanego biurka stanowiły wyposażenie tego pokoju.

Przy oknie zobaczył krępego nie za wysokiego blondyna w wieku około 40 lat. Okrągła, cała w krostach twarz z wielkimi ciut podpadającymi pod zeza oczyma nie budziła sympatii.

– Proszę usiąść – wskazał krzesło przy biurku.

Franciszek usiadł i zwrócił wyczekujący wzrok na gospodarza. Nie wiedział o co chodzi. Sprawa narkotyków była zamknięta, a on ostatnio nigdzie nie podpadł.

– Jestem oficerem Służby Bezpieczeństwa – zaczął tamten

– Wiem wszystko o tej sprawie w sądzie i o wszystkim tak jak było naprawdę.

Ochoczy nerwowo poprawił się na krześle.

– Nie obchodzi mnie tamta sprawa, ale mogę zaproponować ułatwione studia w zamian za pomoc.

– Pomoc? – student spojrział bystro na rozmówcę jakby starając się czytać jego myśli.

– Tak, jest na uczelni kilku wywrotowców i chcemy ich wyłuskać – kontynuował oficer. – Jak nam ich wystawisz to będziemy wdzięczni.

– Kolegów mam sypanąć? – oburzył się. – Nie jestem Judaszem.

– Już raz sypanąłeś i to tak gruntownie, że będą długo siedzieć. Ciekawe, co z Tobą zrobią jak wyjdą z pudła? – ironicznie zaśmiał się gospodarz. – To może być ciekawy przypadek dla patologa.

Franciszkiem coś wstrząsnęło. Faktycznie kolesie ostro odgrazali się, a znał ich dobrze i za kilka lat nieciekawie mogło to wszystko wyglądać.

– Jeśli wam pomogę, to jak załatwicie sprawę z nimi? – wycedził przez zęby.

– To już nasza sprawa, ale musisz wystawić nam tych wichrzycieli.

Naszemu bohaterowi myśli zaczęły przelatywać jak błyskawice. Analizował wszystkie za i przeciw nie zapominając o koleśkach od kompotu.

– Dobrze – odparł po dłuższym zastanowieniu – ale nic nie podpisuję i to umowa na gębę.

– Musisz podpisać – upierał się oficer. – Taka jest procedura.

– Nie, to nici ze wszystkiego – młody Ochoczy wstał z krzesła i ruszył do drzwi.

– Chwila! – głos esbeka zatrzymał go w progu. – Zgoda, ale bez żadnych sztuczek.

– Spoko! – Franciszek nie krył zadowolenia z układu. Osiągnął coś, co gwarantowało mu ukończenie studiów w sumie za niewielką opłatę. Nie pierwszy raz w życiu kablował i nie miał w tym żadnych oporów natury moralnej. Wychodził z założenia, że w życiu panują prawa buszu i jak ty ich nie podkablujesz, to oni ciebie – prosty, przejrzysty układ. Omówili metody kontaktu, po czym student opuścił posterunek.

Od tego dnia zaczął bacznie przyglądać się innym kolegom i koleżankom i to pod konkretnym kątem – kątem działalności antypaństwowej. Swoją drogą jego poglądy były raczej zgodne z ich, ale układ układem i trzeba było przygotowywać raporczki.

Medycyna to trudny kierunek, dużo pamięciowej nauki, a przecież to są najpiękniejsze lata młodości i zamiast ślęczyć nad książkami lepiej oddać się urokom życia studenckiego. Znajomości taty i układy w SB stworzyły mu wielki komfort, a jedynym warunkiem były obecności na zajęciach, ale to sobie zagwarantowały Służby Specjalne, chcieli by należycie wywiązał się ze swoich zobowiązań wobec nich. Sześć lat minęło jak z bicza strzełił i Franciszek otrzymał upragniony dyplom. Został lekarzem i mając oparcie w zaradnym tatusiu wybrał się od razu na specjalizację, na ... ginekologię. Świetny fach. Każda kobieta jest związana nierozzerwalnie z ginekologiem, a co za tym idzie pieniążki walą się drzwiami i oknami.

Na studiach wykazał się wielką gorliwością w donosicielstwie i w nagrodę koleśków od kompotu, kiedy tylko wyszli na wolność, wcielono do wojska na trzy lata. Młody Ochoczy mógł ochotczo specjalizować się, a praca w dużym szpitalu MSW dawała mu nowe szanse na wykazanie się przed SB, czyli mógł liczyć na duże poparcie przy ewentualnych awansach.

I tak to wszystko toczyło się przez wiele lat, podpieprzanie, awansiki i tak na okrągło. Nie warto już wspominać tych od narkotyków, bo ich los był zwykłym koszmarem. Jak wyszli z wojska po pięciu latach (dwa dołożono im za karę) posadzono ich o napisać i gwałt, za co otrzymali dziesięć lat nowej odsiadki. Franciszek mógł czuć się bezpieczny.

Olbrzymie perspektywy otworzyły się przed naszym bohaterem w stanie wojennym. Internowano wielu wybitnych specjalistów, wielu usunięto z pracy za przynależność do Solidarności i zrobili się wakaty na prestiżowych stanowiskach.

20 grudnia 1981 roku wezwano Franciszka do SB. Przyszedł na spotkanie pełen nadziei, czuł swoją szansę. Przez te wszystkie lata współpracował z tym samym oficerem i teraz też nie było zmiany, chociaż tym razem esbek ubrany był w mundur pułkownika.

– Witaj! – przywitali się jak starzy kumple, ale w końcu znali się już wiele lat. – Możesz teraz awansować i masz prawo wybrać sobie stanowisko w swoim szpitalu.

– Sam nie wiem – Ochoczy wahał się. – Ludzie kapną się, że z wami współpracuję, to może być źle widziane w naszych kręgach.

– Ale ktoś musi objąć te stanowiska – protestował oficer.
– Jak nie ty, to kto popadnie.

– Chyba, że mnie zmobilizujecie i rozkażecie – nagle genialna myśl przyszła mu do głowy. – Wtedy nikt nic nie powie, a mało tego, będą mi współczuć.

– Świetnie, tak zrobimy, ale co chcesz objąć?

– Ordynator na ginekologii! – wydusił nasz bohater.

– Ale to jest stołek zajęty – SB-ek zrobił zdziwioną minę.

– To go zwolnijcie, chyba za tyle lat współpracy coś mi się należy!

– No, no, cały czas Ci pomagamy, nie narzekaj, bo gdyby nie my to kwitłbyś z kumplami w pierdłu, a później w marynarce wojennej.

– Ale ja wam wydałem wszystkich przeciwników na uczelni i wielu w klinice.

– Dobra, dobra, ale przy okazji wrobiłeś kilku prywatnych wrogów. – Pułkownika wyraźnie rozbawiła ta potyczka słowna. – Prze-
stań już i niech tam – machnął ręką. – Załatwimy tego ordynatora.

– Ale jak? – zapytał Franciszek.

– Mamy coś na niego – zaśmiał się gospodarz.

Po półgodzinie spotkanie zakończyło się i nasz bohater pojechał do pracy do szpitala.

Jeszcze tego samego dnia ordynator ginekologii otrzymał pilne wezwanie do siedziby SB. Następnego dnia rano mały przygarbiony zasuszony człowieczek zapukał do pokoju nr 123 na pierwszym piętrze budynku Służby Bezpieczeństwa.

– Wejść! – usłyszał.

Nacisnął klamkę i po chwili wkroczył do małego gabinetu.

– Proszę usiąść – znany nam już pułkownik wskazał przybyłemu krzesło i sam usiadł po przeciwnej stronie biurka. Sięgnął do szarej teczki i wyjął z niej gęsto zapisaną kartkę.

– Wiecie, co jest na tej kartce? – Spytał.

– Nie! – gość pokręcił przecząco głową.

– Wy jesteście docent Węcławski?

– Tak!

– Wy jesteście ordynatorem ginekologii w szpitalu MSW?

– Tak!

– Wy macie syna Janusza, który studiuje psychologię na Uniwersytecie Warszawskim?

– Tak ! – ponownie potwierdził.

– Wiecie co wyprawia wasz syn w akademiku?

– Mój syn? – wielkie zdziwienie odmalowało się na twarzy lekarza.

– Tak, wasz syn obywatelu – twarz pułkownika zrobiła się bardzo surowa.

– Nie, nic nie wiem.

– Synuś zabawia się z chłopcami – zaśmiał się. – Z chłopcami!

– No i co z tego? Nie rozumiem.

– Nie rozumiecie, że wasz syn to pedał!! Zwykły pedał!! – wycedził przez zęby oficer.

– Co? – zerwał się z krzesła. – To stek kłamstw!

– Siadajcie – oficer ręką wskazał krzesło. – Mam dowody, to nie kłamstwo!

– Jakie dowody?

– Proszę, oto bardzo ciekawe zdjęcia. – Pułkownik podał zdruzgotanemu i osłupiałemu lekarzowi kilka kartek.

Ten chwycił je kurczowo i zaczął przeglądać, ale nie był w stanie obejrzyć tego do końca.

– O mój Boże! – jęknął. – Co za wstyd, co za wstyd.

Siedział tak zgarbiony, twarz ukrył w dłoniach, wielki szok sparaliżował jego ciało.

– Chcecie obywatelu te zdjęcia? – Spytał esbek.

– Tak – lekarz spojrzał z nadzieją na swojego rozmówcę.

– Czego chce Pan w zamian?

– Niedużo – oficer uśmiechnął się przyjaźnie.

– Więc czego? Proszę mówić!

– Waszej rezygnacji ze stanowiska ordynatora.

– Mojej rezygnacji? – wyszeptał zaskoczony docent. – Ale nie ma więcej zdjęć?

– Daję słowo, że nie ma – oficer włożył zdjęcia do koperty i podał lekarzowi.

– Dobrze, dziś złożę rezygnację. – Oświadczył, a następnie ciężko wstał z krzesła i nie patrząc na pułkownika opuścił pomieszczenie. Ten człowiek dostał przed chwilą straszliwego kopa od życia i nie miał się nigdy po nim podnieść. Następnego dnia żona znalazła go wiszącego w łazience, gdy już nie żył...

Natomiast oficer zaraz po wyjściu docenta zawołał sekretarkę.

– Proszę uzupełnić zdjęcia w tej teczce – wskazał na skoroszyt z aktami młodego Węclawskiego. – Te, które mieliście dziś skserować, jeszcze może kiedyś przydadzą się.

Wróćmy jednak do naszego bohatera. Bardzo zaskoczyło go samobójstwo docenta, nie chciał jego śmierci, a czuł w tym wszystkim działanie Służby Bezpieczeństwa. Jednak chęć objęcia wymarzonego stanowiska zepchnęła tę tragedię na dalszy plan i po niedługim czasie Franciszek Ochoczy ku wielkiej radości rodziców został ordynatorem ginekologii w klinice MSW. Wielki awans młodego lekarza wzbudził zdziwienie i różne plotki zaczęły krążyć w środowisku, ale on nie przejmował się tym zupełnie. Zaczął swoje rządy i na wejściu zawołał do siebie doktora Kownackiego, wieloletniego zastępcę Węclawskiego.

Nasz młody wilk przyjął podwładnego siedząc za biurkiem i trzymając nogi na blacie. Chciał pokazać maksimum lekceważenia lekarzowi, którego strasznie nie cierpiał i którego teraz zaplanował wyrzucić na mordę z kliniki. Kownacki spojrzał na nogi Ochoczego i smutno uśmiechnął się.

– No doktorku – nowy ordynator zmierzył groźnym wzrokiem przybyłego – dziś dzień podsumowań, a ponieważ każdy szef dobiera sobie współpracowników, to możesz czuć się zwolniony.

– Znam Twojego ojca i Twoją matkę – odparł stary lekarz – i zastanawiam się, jakim cudem w tak porządnej rodzinie wylęgła się taka szuja. Nie chciałbym z tobą pracować, bo to ujmą dla człowieka i lekarza. Nie powiem do widzenia, gdyż nie chcę Cię nigdy widzieć, powiem żegnaj! – odwrócił się na pięcie i nie czekając na jakąkolwiek reakcję Franciszka opuścił gabinet.

– Stary palant! – warknął wściekły ordynator. Nie tak miało to wyglądać, nie dał mu tej satysfakcji.

Czystka była konkretna i starą gwardię zastąpiono nową, ślepo oddaną szefowi. Mijały lata, a Ochoczy kontrolował sytuację praktycznie w całym szpitalu. Każdy pracownik mruczający na władzę bywał wzywany do siedziby SB gdzie dawano mu do zrozumienia, że oni o wszystkim wiedzą.

W końcu Komuna zaczęła sypać się w gruzy i nasz bohater będąc człowiekiem elastycznym musiał zmienić taktykę.

To, co teraz wymyślił przerosło wszystkie jego łądactwa. Mając świetne układy w SB orientował się doskonale kto w klinice był tajnym współpracownikiem i teraz to bez skrupułów wykozystał. Zrobił wielki zebranie personelu i wobec ogółu wyczytał wszystkie te nazwiska. Nagle z niezbyt lubianego ordynatora przeordził się w wielkiego orędownika nowego ładu.

Napiętnowani pracownicy zniknęli z kliniki, a „odważny ordynator” został zauważony przez nowe siły. Powoli zaczęły otwierać się przed nim nowe perspektywy. Pierwszą nagrodą, jaką otrzymał od nowej władzy była nominacja profesorska, którą odebrał z rąk solidarnościowego prezydenta. Pół roku później, może to był listopad, przejeżdżając przez Mokotów zobaczył małą myjnię samochodową i nie namyślając się podjechał pod zakład. Brama otworzyła się, wyszedł z niej jakiś mężczyzna w gumowym kombinезonie z kapturem i wskazał ręką miejsce w środku. Volvo profesora wolno wjechało na stanowisko, wyłączył silnik i wyciągnął gazetę. Zaczął przeglądać wiadomości, kiedy nagle zerknął na przednią szybę jego wzrok spotkał się ze wzrokiem pomywacza. Widział tylko kawałek twarzy, resztę zakrywał kaptur. Obydwaj panowie mierzyli się badawczo, aż nagle Ochoczy z przerażeniem poznał człowieka – to był ten lekarz z ginekologii, którego wyłał na samym początku. W pierwszej chwili nie skojarzył, ponieważ wtedy był to największy elegant w szpitalu, a tu przed nim stała ruina człowieka. Brudny, nieogolony z długimi pozlepianymi włosami w niczym nie przypominał tamtego sprzed lat. Podkablował go tak skutecznie, że tamten nie mógł nigdzie znaleźć pracy, ale z drugiej strony to dobrze draniowi, mógł nie poskakiwać.

Tamten patrzył się na niego takim wzrokiem, że naszemu bohaterowi ze strachu zaczęły dreszcze przechodzić przez plecy. Siedział zdrętwiały i obserwował jak pomywacz przeciera przednią szybę ani na chwilę nie spuszczając z niego wzroku. Wreszcie skończył i wolno podszedł do drzwi, zapukał w szybę. Ochoczy nacisnął włącznik i szyba uchyliła się.

– Pamięta mnie pan, panie doktorze – wycedził przez ściśnięte zęby.

– O, a co tu kolega robi? – Franciszek udawał zdziwienie.

– Myję samochody i to dzięki Panu – warknął tamten. – I nie jesteśmy kolegami, brzydzę się takimi wszami. Zmarnowałeś mi życie gnoju! Ja, lekarz ze specjalizacją, przez ciebie myję samochody, bo innej pracy z wilczym biletem nie mogłem dostać – silne wzburzenie zaczęło go ogarniać. Podniósł głos i nagle chwycił pojemnik służący do pokrywania pianą karoserii i zaczął na oślep tłuc nim w samochód Ochoczego. Ten widząc, że to nie przelewki włączył silnik i na pełnym gazie wyjechał z myjni. Nie patrząc za siebie na wół umyтым pojazdem uciekł z miejsca zdarzenia i dopiero, kiedy znalazł się na ulicy odetchnął z ulgą.

– Ja go jeszcze załatwię – warknął wzburzony, chwycił za telefon i zadzwonił do UOP-u.

Wciąż miał znajomości w Służbach Specjalnych, no cóż, inny szyld, ale ci sami ludzie i działania te same. Każda władza ma swoich wrogów i potrzebuje szpicli.

Tego samego dnia w siedzibie UOP w pokoju nr 432 na czwartym piętrze generał Gniotowski przekazywał swoje obowiązki nowemu szefowi wydziału pułkownikowi Pastusikowi. Obydwaj panowie siedzieli przy biurku i omawiali stan siatki donosicieli w służbie zdrowia. Część donosicieli wypaliła się i należało zrezygnować z ich usług, inni wymagali większej opieki. Kiedy omawiali klinikę MSW odchodzący naczelnik wyciągnął teczkę Ochoczego.

To jest jeden z najstarszych współpracowników, ale po tylu latach sam już nie wiem czy on był naszym narzędziem, czy też na odwrót – generał podrapał się w zamyśleniu po brodzie. – Ten człowiek ciągle tylko chciał, tylko prowadził z nami jakieś interesy. Coś za coś, czyli jak kogoś podkablował to od razu żądał załaty. Był chwilami naprawdę bezczelny. Nigdy nie podpisał współpracy, ale załatwiliśmy go w pięknym stylu.

– To znaczy? – zaciekawiony Pastusik uniósł brwi.

– Jego sekretarka też pracowała dla nas i kiedyś zamiast piśma do ministerstwa podsunęła mu nasz dokument i złożyła na nim piękny autograf. Jego teczka piękna, obszerna, leży u nas, ale chyba pora by ją podrzucić do archiwów. Zawsze będzie Pan mógł w odpowiednim momencie skierować na nią jakiegoś głupiego dziennikarza. Niech myśli, że odkrył tajemnicę. Ocho czy jest teraz profesorem – znaną personą w mieście. Osobiście radziłbym jeszcze go wywindować wyżej, bo wtedy upadek będzie boleśniejszy, to zawsze jakiś temat zastępczy, taki as w rękawie.

– Dziękuję! – pułkownik był wdzięczny za wszystkie rady swemu poprzednikowi. – Na pewno wykorzystamy tego gościa, a tym bardziej skoro to taka szuja.

– O, tak, dużo gorszy od najgorszych w naszej branży. Możeście mu dokopać! – przytaknął generał.

Teczka Franciszka dziwnym trafem znalazła się w odpowiednich archiwach i czekała na swój wielki dzień. Tymczasem nasz bohater nie przeczuwając niczego złego zaczął coraz bardziej piąć się w górę. Jedna z główniejszych partii politycznych chwyciła ciepły kasek w postaci profesora nie wiedząc, że weszła na niezłą minę z opóźnionym zapłonem. Stał się symbolem cnót obywatelskich i wielkim autorytetem moralnym, billboardy zapełniły się jego podobizną. Co niektórzy zacierali ręce i czekali dalej.

Tymczasem któregoś czerwcowego dnia Ochoczego coś naszło i wstąpił do jakiegoś pubu na starym mieście. Miał niesamowitą ochotę na zimne piwko i jak to on musiał natychmiast zrealizować swój zamiar. Usiadł przy stoliku w kącie, zamówił trunek, a kiedy kelnerka postawiła przed nim szklaneczkę złociwego płynu szybko zamoczył w nim usta.

– Uff, ale dobre – burknął pod nosem.

– Zimne piwko to jest to! – odezwał się jakiś głos z tyłu.

Odwrócił się i zobaczył wysokiego siwego może pięćdziesięcioletniego mężczyznę ubranego w beżowy sztruksowy garnitur.

Twarz opalona, ciemne okulary, postać nie do zidentyfikowania, ale jednak kogoś mu przypominała.

– Nie poznajesz? – spytał nowoprzybyły.

– Nie – przecząco pokręcił głową. – Twarz znam, tylko nie wiem skąd.

– Jak już profesor to nie pamięta chudzielca z ławki obok – zaśmiał się tamten.

– Marek? – zdziwienie odmalowało się na obliczu ordynatora.

– Trochę się zmieniłeś kolego!

– Trochę? Miły jesteś i to chyba pierwszy raz w życiu, ale dobre i to – zaśmiał się i nie pytając przysiadł się do lekarza.

– Dla mnie też piwo – krzyknął do kelnerki.

– Co porabiasz? – Ochoczy wyraźnie ucieszył się widokiem kolegi z liceum.

– Ja? – pytany zaśmiał się – wegetuję już ponad dwadzieścia lat.

– Wegetujesz?

– Tak, jak skończyliśmy liceum poszedłem na uniwersytet i tam zaraz wplątałem się w organizacje studenckie, ale te niezbyt legalne. Na trzecim roku ożeniłem się z koleżanką z roku i przyplątał nam się berbeć. Dorota poszła na urlop, a ja kończyłem studia. Kiedy poszedłem do pracy do Zakładów Kasprzaka to coś głupio palnąłem na władzę i zaraz znalazłem się na dywaniku u tych cichociemnych. Tak podpadałem kilka razy, aż złapali mnie i zaarrestowali. Sytuacja była o tyle tragiczna, że jako jedyny w rodzinie pracowałem i mój areszt zostawiał moich bliskich na lodzie. Mało tego, zagrozili mi, że pobiją moją żonę, a jeśli nie zgodzę się na współpracę to coś mi zrobią z synem. Przerażony zgodziłem się i dopiero rozpoczął się mój koszmar. Wiadomo, że nie donosiłem, ale próbowałem ich zwodzić. Zaczęli robić się coraz bardziej nachalni, wieczorami nachodzili mnie w domu, straszny koszmar! Aby to zakończyć wpadłem na prosty, ale skuteczny pomysł.

– Znalazłeś pomysł by ich zrobić w konia? – wydusił zaskoczony Ochoczy, gdyż wiedział, że to była beznadziejna sprawa.

– Tak – zaśmiał się tamten. – Zwolniłem się z pracy i przyjąłem się do małej piekarni jako piekarz.

– Jako piekarz?

– Tak, przestałem być im kompletnie pożyteczny. Nie interesowały ich nastroje w czteroosobowej firmie. Odpuścili mi!

– Ale Ty masz studia?

– Tak, ale co mi po studiach, jeśli miałem piekło zamiast życia. Pracując w piekarni wreszcie spałem spokojnie, chociaż w dzień, bo w nocy piekliśmy chleb.

– To faktycznie zrobiłeś ich w trąbę – przyznał nasz bohater.

– Ale nie lepiej byłoby coś im rzucić na pożarcie i nie marnować kariery? Skończyłeś studia by zostać piekarzem, to trochę dziwne.

– Nigdy! Oni chcieli ludzi na pożarcie, a to była za duża cena za karierę, zresztą, co to za kariera w Zakładach Kasprzaka, które już chyba sprywatyzowali, czyli rozkradli.

– Ale teraz możesz sobie wszystko odbić!

– O nie! Co Ty? Jestem teraz bardziej ugotowany niż wtedy, teraz wiszę za wszystkie cztery łapy.

– Nie rozumiem?

– Też tak myślałem jak Ty, popierałem nową władzę, wreszcie poczułem się jak obywatel wolnego kraju. Wzbogacony życiowym doświadczeniem postanowiłem spróbować sił w polityce. Człowiek, który tyle wycierpiał od komuny jest godny zaufania i tak było do momentu, kiedy zostałem poddany lustracji.

– No i?

– No i okazało się, że jestem tajnym współpracownikiem SB. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się ode mnie, opluto mnie i moją rodzinę. Zostałem na gorszym lodzie niż za PRL-u.

– Ale przecież nie współpracowałeś?

– Nie i cóż z tego? Przecież ludzie, którzy teraz o tym decydują wtedy nosili koszulę w zębach i walili w nocniki. Oni nie mają pojęcia o tamtych czasach, a teraz pokazują w telewizji swoje buzie i mądrzą się na te tematy. Mówię Ci, że dostaję szału jak

widzę te gadające głowy. Źle skończy kraj, w którym naród szczuje siebie nawzajem. To tak jak pies, który gryzie własny ogon.

– I co porabiasz teraz? – Ochoczy wypił ochoczy już kilka piwek i z dużym zainteresowaniem słuchał opowieści. Wybrali obydwaj różne drogi życiowe i teraz mógł porównać, który z nich miał rację. Co bardziej opłacało się ... Donosicielstwo czy też uczciwość.

– Ja? A cóż mi pozostało, pracuję na czarno na zgniłym zachodzie. Najgorsze są zimy, bo wtedy nie ma roboty, ale od wiosny siedzę na budowach w Niemczech aż do późnej jesieni.

– Ale co to za życie?

– Ba, a mam wyjście? Nowa władza była dla mnie brutalniejsza od starej. Wiesz, gdybym mógł wrócić do tyłu do mojej młodości to najpierw spisałbym personalia tych wszystkich mądrych, a następnie napisałbym raporty, że np. waląc kupę do nocnika wykrzykiwali okrzyki antypaństwowe. Ale byłaby heca – obydwaj wybuchnęli śmiechem.

– Prosimy jeszcze po piwku! – krzyknęli do kelnerki.

– A Ty? – Marek spojrzał na kolegę.

– Ja? – zdziwił się Franciszek. – U mnie wszystko szło na odwrót. Całe życie szmaciłem się dla kariery no i dziś jestem profesorem w odróżnieniu od tu obecnego robotnika budowlanego. Ale czy robiłem dobrze, czy źle to sam nie wiem.

– Dobrze robiłeś! – syknął mocno już podchmielony kolega.

– Co mi przyszło z tego, że nie donosiłem? Nic, jedno wielkie gówno i nic poza tym. Ty masz pozycję społeczną, forszę, pewnie piękny dom, a ja tułam się po budowach po całej Europie. Ty będziesz miał wysoką emeryturę, a ja będę żył z zasiłku z opieki społecznej. Tak stary, Ty wybrałeś dobrą drogę. Władza to jedna wielka świnia i jeśli nie będziesz się z nią świnić to ona Cię obsra – zabełkotał kompletnie już pijany Marek.

– Uważaj, co mówisz – Ochoczy niespokojnie rozejrzał się po kawiarni. – Jeszcze nas aresztują za obrazę.

– A co mi mogą więcej zrobić? – niepohamowany śmiech ogarnął kolegę. – Co mi mogą zrobić?

– Tobie to już nic, ale ja jestem znaną osobą i takie wypowiedzi mogą mi zaszkodzić.

– E tam, jak będą chcieli Cię wykończyć to i tak znajdą haka. Pewnie też masz swoją teczuszkę i kiedy komuś zagroźysz to wyciągną ją na światło dzienne.

– Nie, nic nie podpisywałem – zaprzeczył Ochoczy. – Nie mogę mieć teczki.

– Ha, ha, ha, każdy miał teczkę, a jeśli nie podpisałeś to sfalszowali twój podpis. Nie łudź się.

– Nie! – lekarz bezgranicznie wierzył w swoje szczęście i spryt.
– Byłem bardzo ostrożny.

– Oby bracie, ale jeśli kiedyś publicznie wykastrują twoją osobowość to możesz przyjechać do mnie do Pforzheim, to załatwię Ci dobre miejsce na rusztowaniu. Ha, ha, ha! – wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wcisnął w rękę Franciszkowi.

– Jeszcze po jednym piwku! – ponownie krzyknęli do kelnerki, ale obydwoj mieli już nieźle w czubie.

– Wiesz, układ jest prosty – kontynuował Marek. – Teraz wychodzi taki polityk i mówi, że brzydzi się donosicielstwem i bezczelnie donosi na domniemanego donosiciela. Przecież takie stwierdzenia to absurd!

– Nie rozumiem – burknął profesor. – Tak to zawiąnałeś jak jakiś makaron.

– To nie ja, ja tylko streszczam Wiadomości.

– Nie oglądam telewizji!

– Masz rację, ja od kiedy wyrzuciłem telewizor przez okno też nie oglądam.

– Wyrzuciłeś? Poważnie?

– Tak i miałem wielką radochę, spróbuj też to zrobić.

– Dobrze, zrobię to jak wrócę do domu – Ochoczy wyraźnie nabrał ochoty.

– A pamiętasz tego Janka z pierwszej ławki? – Markowi zebrało się dziś na wspomnienia.

– Tego ryżego, co dłubał wiecznie w nosie?

– O, o właśnie ten. On nigdy nigdzie nie podskoczył. W szkole nie naraził się nauczycielom, później razem studiowaliśmy. Człowieku ten klient nawet na studiach ze strachu nie mówił o polityce. Jak w grupie opowiadaliśmy jakiś polityczny kawał to on zaraz w drugą stronę, byle go ktoś nie łączył z tym zdarzeniem. – przerwał na chwilę i zrobił duży łyk. – Wyobraź sobie, że zobaczyłem go w telewizji jak opowiadał o swojej nieugiętej postawie w czasach komuny, że nikt go nigdy nie złamał mimo, że nieraz próbowano. Palant głupi, a kto by się takim interesował, zero wtedy i zero teraz.

– Ale podobno nie masz telewizora? – zdziwił się profesor.

– No właśnie od tego dnia już nie mam!

– Wszystko w tym kraju postawione na głowie, tylko kłótnie i kłótnie. To, co wywalczymy to zaraz zmarnujemy. Nigdy nie potrafiliśmy wykorzystać tych szans, które od losu mieliśmy.

– No, może nasze dzieci będą miały lepiej – alkohol działał. Ochoczy rozmarzył się. – Nie będzie teczek będzie wreszcie idylla.

– Ha, ha, ha, facet, na jakim Ty świecie żyjesz? To dopiero się zaczyna.

– Jak zaczyna? – zdziwił się Franciszek. – Jakie wtedy znaczenie będą miały teczki? Przecież to bzdura.

– Tak? A pamiętasz jak niedawno wyciągnięto jednemu facetowi, że jego dziadek był w Wehrmachcie. Przecież to teczka dziadka i do tego z przed sześćdziesięciu lat, a jaka jej moc.

One są jak wino, im starsze tym lepsze.

– Nie rozumiem?

– Jak wyciągniesz teczkę sprzed kilkudziesięciu lat to nie masz szans by sprawdzić autentyczność zdarzeń tam ujętych. Ewentualni świadkowie nie żyją i możesz walić w klienta jak w bęben.

– Ale przecież wnuk nie może odpowiadać za dziadka?

– Oj, profesorku, ja jestem zwykłym robotnikiem budowlanym i więcej rozumiem. Przecież wmówią, że kapowanie masz w genach po dziadku i jesteś kompletnie lewy. Ubiorą to w kilka

naukowych ekspertyz odnośnie dziedziczenia i naród uwierzy, że to nie teczka dziadka, ale twoja.

– Niemożliwe, ludzie nie są tacy głupi – lekarz pokręcił przecząco głową.

– Oj, nawet nie wiesz, jacy są głupi, oj nie wiesz.

Około 20 panowie rozstali się i każdy poszedł w swoją stronę. Nasz bohater nie przestawał myśleć o spotkaniu i chyba pierwszy raz poczuł jakiś niesmak. Czuł niechęć do samego siebie i to nie dlatego, że donosił, ale dlatego, że donosił na takich ludzi jak Marek. Szedł przez życie po najmniejszej linii oporu, ale jego sukcesy oznaczały porażki życiowe wielu w sumie porządnym ludzi. Teraz będąc u szczytu swojej kariery zdał sobie sprawę, że jest profesorkiem a nie profesorem, że jest lekarzykiem a nie lekarzem, że jest marnym człowieczkiem a nie człowiekiem. Wszystko co ma, było wynikiem jego niegodziwości, a nie zdolności i pracy, nie przedstawiało żadnej wartości. To było sztuczne.

– Przegrałem całe życie, ale w sumie na własne życzenie – burknął pod nosem i siedząc przed telewizorem otworzył Jasia Wędrowniczka, nalał szklanę bez rozcieńczalnika i jednym ruchem wlał całość do gardła. Wstał, wolno podszedł do odbiornika. Na ekranie akurat Durczok prowadził jakiś program z gadającymi głowami.

– Osobiście nic stary nie mam do Ciebie – warknął przez zaciśnięte zęby, pochylił się, szarpnął telewizor w górę wyrwijąc wtyczkę z kontaktu i skierował się do okna, po czym nie namyślając się wyrzucił odbiornik na zewnątrz. Olbrzymi łoskot rozbijającego się urządzenia postawił na nogi wszystkie czworonogi w okolicy i rozległ się potworny jazgot z psich mord. – Uff, faktycznie ulżyło – ogarnęło go wielkie zadowolenie i to pierwszy raz od wielu lat. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś go cieszyło. Życie straciło smak, a tym bardziej sens. Ile czasu można udawać kogoś innego? Ten drugi wizerunek – wizerunek człowieka o nieposzlakowanej opinii, przytłaczał go. Czuł, że go niszczy, że pokazuje

mu wszystkie jego wady, że go obnaża przed samym sobą. Ten drugi ja ciągle powtarzał mu „Ty jesteś zerem!”.

– Masz rację, jestem zerem – burknął i nalał sobie jeszcze.
– Zeszmaciłem się, ale gdybym tego nie zrobił to jakie bym miał życie? Inni by kablowali na mnie i skończyłbym w pierdłu lub jak Marek na rusztowaniach w Niemczech. Takie były czasy i ja starałem się jak najlepiej przystosować.

– Przez Ciebie popełnił samobójstwo Węclawski, zmarnowałeś życie kolegom od kompotu i wielu, wielu innym – głos nie dawał spokoju.

– Nie wiedziałem, że Węclawski popełni samobójstwo, a jeśli chodzi o tych od narkotyków, to byłem wtedy bardzo młody i bałem się więzienia. To było jedyne wyjście, by uniknąć kary.

– A ten z myjni? – głos dziś był wyjątkowo upierdliwy.

– Ten to bruździł mi na każdym kroku, sam chciał mnie wykołegować ze stanowiska. Bronilem się!

– Broniłeś się?

– Tak, chyba mówię, że się bronilem! – chwycił szklanke i z furią rozbił ją o podłogę.

– Bądź mężczyzną i zrób coś z tym – głos nie ustępował.

– Co mam zrobić? Przeprosić? Cofnąć czas i zwrócić ludziom ich szanse życiowe?

Przecież już jest za późno!

– Nigdy nie jest za późno, by naprawić krzywdy!

– Dobrze, zastrzelę się! – ryknął i ruszył do pancерnej kasy po broń. Po chwili wyciągnął rewolwer, naładował i położył przed sobą na stole.

– Czemu nie strzelasz? – spytał głos. – Przecież zawsze szukałeś najprostszej drogi. Tej, która Ci pasowała. Strzelaj tchórz!

Siedział patrząc w skupieniu na broń. W pewnym momencie chwycił ją, odbezpieczył i przycisnął z całej siły do czoła. Poczul zimny dotyk stali, spojrzal na swoje palce oparte na rękojeści i na ten jeden palec, palec na cynglu, na kluczu do rozwiązania jego sytuacji.

- Myślisz, że nie strzelę?
- Nie dasz rady – szepnął głos.
- Dlaczego tak myślisz? Przecież zawsze szukałem prostych rozwiązań.
- Tak, ale Ty uważasz, że najprostsza sytuacja to nie robienie nic!
- Co mam zrobić? – głos mu się załamał.
- Zrób konferencję prasową i przyznaj się do wszystkiego
- wycedził głos. – To będzie duża odwaga i na pewno bardzo trudne rozwiązanie.
- Co mi to da?
- Da Ci trochę szacunku dla samego siebie, da Ci coś, czego nigdy nie zaznałeś, nie znasz tego uczucia mimo twojego wieku.
- Nie dam rady – jęknął – to za trudne.
- Często trudne decyzje wymagają dużo odwagi.

Dziwny głos zaczął coraz częściej rozmawiać z naszym bohaterem. Może wpływ na to miał alkohol, a może wyrzuty sumienia. Pewne decyzje dorastały w jego umyśle, ale był to proces bardzo długotrwały.

Minęło kilka lat i nagle w sierpniu 2005 roku profesor Ochocki zwołał konferencję prasową. Tłumy dziennikarzy wypełniły małą salę konferencyjną przy Szpitalu MSW. Nikt nie znał powodu, a tym bardziej tematu. Kiedy na salę wszedł nasz bohater, tłum zamilkł w oczekiwaniu.

– Witam tu obecnych – zaczął niepewnym głosem – chciałbym złożyć oświadczenie.

Powiódł wzrokiem po zaciekawionych twarzach i rozpoczął.

– Drodzy Państwo, chciałbym oświadczyć, że przez wiele lat byłem tajnym współpracownikiem SB. Donosiłem na kolegów na studiach, na kolegów w pracy, na wszystkich, którzy wchodzili mi w drogę. – Przerwał na chwilę, spojrzął wokoło i widział tylko gigantyczne osłupienie i zdumienie na twarzach.

– Ponieważ wyrządziłem krzywdę wielu ludziom, chciałbym przeprosić za moje zachowanie.

Jednocześnie chciałbym złożyć rezygnację z mojego stanowiska. – Odłożył mikrofon i wśród potwornej ciszy opuścił salę. Wszyscy patrzyli za nim w grobowym milczeniu, treść oświadczenia była sensacją nie dnia, ale roku.

Mimo, że przyznał się do okropnych rzeczy, czuł niesamowitą ulgę. W pewnej mierze czuł się oczyszczony. Sam, przez nikogo nie nakłaniany pierwszy raz w życiu przełamał wszystkie swoje negatywne cechy i zachował się godnie. Tym cenniejszy gest, że na horyzoncie pojawiły się wielkie awanse polityczne. Po raz pierwszy w życiu zaznał tak wspaniałego uczucia.

Kiedy dotarł do domu pierwszą rzeczą, jaką zrobił było wyciągnięcie z szuflady wizytówki Marka, kolegi ze szkoły. Chwycił za telefon i wykręcił numer.

- Halo! – usłyszał po drugiej stronie.
- Cześć, to ja Franek, masz jeszcze to miejsce na rusztowaniu?
- Ha, ha, ha, pewnie że mam – usłyszał rozradowany głos.
- Ale jesteś tego pewny?
- Jak niczego innego w życiu!
- No to czekam!
- Będę!

I znów jesteśmy w ponurym gmachu IPN. Wśród czekających jest Witold Ochoczy, syn naszego bohatera. Uzbrojony w pełnomocnictwa czeka na odbiór dokumentu stwierdzającego czy jego ojciec był, czy też nie współpracownikiem SB. Konferencja prasowa ojca odbiła się głośnym echem, ale nic w tym dziwnego, Franciszek był znaną postacią i takie publiczne przyznanie się do winy uderzyło w rodzinę jak grom z jasnego nieba. Mało tego, jeszcze tego samego dnia profesor spakował jedną walizkę i zniknął. Wszelki ślad po nim zaginął i jedynie kartka z jednym słowem „przepraszam” świadczyła, że dobrowolnie opuścił dom.

Teraz czeka na papier by przekonać się, że to, co mówił ojciec jest prawdą. Nerwowo przegląda gazetę, ale trudno się dziwić, ponieważ brzydka przeszłość rodzica bardzo zaszkodzi jego ka-

rierze. To o czym mówił kiedyś Marek, kolega Franciszka, zaczęło wchodzić w życie. Teczki rodziców i dziadków zaczęły bardziej szkodzić dzieciom i wnukom niż samym donosicielom czy ich ofiarom. Obłąd goni obłąd!

PODSUMOWANIE, CZYLI PIĄTA HISTORIA

W marcu 1952 roku, w rodzinie hm... no powiedzmy, że inteligentniej przyszedł na świat Aleksander Leszczyński. Nazwisko historycznie zasłużone, ale to nie było dziecko z tych Leszczyńskich. Matką naszej słodkiej ryży blond dziewczyny była pani inżynier, a tatą pan magister. Głowa rodu – wieśniak z dziada pradziada skończył studia w okresie przyspieszonej edukacji w okresie tuż powojennym. Szefowa rodu też załapała się na przyspieszone studia i dzięki temu obydwójce właściwie nic nie stracili czasu mimo pięcioletniej II wojny światowej. Aleksander był drugim w kolejności potomkiem i zwyczajowo miłość rodzicielska podzieliła się po połowie, a ponieważ został oczkiem w głowie pani inżynier, która trzęsła rodzinną twierdzą, dzieciństwo miał bardzo udane. Brak córki rodzicielce wynagrodziło zniewieściałe dziecię i wszystko szło miłym rytmem, ale kiedy jednak młody Leszczyński wstąpił w progi szkoły, fory uległy ograniczeniu. Owszem nauczyciele hołubili zniewieściałego chłopczyka, ale już koledzy w klasie zaczęli go tępić. Nie miał łatwego życia. Wpadł prosto pod rynnę, co niestety w późniejszym okresie miało duży wpływ na jego psychikę. Olek uczył się dobrze i co roku otrzymywał wraz z promocją do następnej klasy jakąś książkową nagrodę. Biblioteczka domowa puchła w oczach, a nasz bohater dzielnie wspinał się po drabince edukacji, by dobrnąć do wyższej uczelni. Kiedy stanął na rozstaju dróg życiowych i rozejrzał się wokoło, strach potworny ogarnął jego duszę, ale od czego ma się rodziców. Pani inżynier pokazała mu jedyną słuszną drogę i wysłała swojego ukochanego potomka na politechnikę do Poznania. Czemu wybrała Poznań? – zapytacie.

Otóż miała dwie w życiu słabości: jedna to synuś, a druga to wieloletnia przyjaciółka tamże zamieszkująca. Tak rozpoczął się etap studencki naszego ulubieńca i pewnie oczekuje-

cie, że był naszpikowany działalnością wywrotową lub też akcjami SB?

Ha, ha, ha, nic w z tych rzeczy. Aleksander nie należał do ryzykantów, on chciał spokojnie skończyć studia. Tam gdzie kwitły rozmowy polityczne, tam na pewno nie było naszego bohatera! A jeśli opowiadał kawał polityczny, to w tak wielkiej konspiracji, że sam go ledwo słyszał.

Matki słabość do przyjaciółki nie odzwierciedliła się w stosunkach między pociechą a przyszywaną ciotką i po dwóch latach przeprowadził się z wielkim hukiem do koleżanki z grupy. Nie, nie myślcie nie wiadomo co, jej rodzice mieli domek i on wynajął u nich pokój. Jego dupowatość pobiła wszystkie rekordy, bo mieszkając u dziewczyny, do której „poczuł miętę” pozwolił, by mu inny kolega z grupy ją wyrwał i mało tego, tamten został jego dobrym kumplem. Nigdy wcześniej, ani później nie słyszałem o takim przypadku, to był prawdziwy fenomen!

Studia zleciały jak z bicia strzełił i Leszczyński wrócił na rodzinne śmieci. Wtedy były takie czasy, że praca szukała pracownika, a nie odwrotnie, więc bez problemu znalazł zajęcie w szkole. Został belfrem! Ten okres wpłynął na całą resztę jego życia, ponieważ poznał swoją wielką w przenośni i dosłownie, miłość. W sekretariacie pracowała dziewczyna, która tak jak i on nie mogła znaleźć drugiej połowy. Obydwoje nie mieli brańska, ale naprawdę znając ich osobiście wcale temu się nie dziwiłem. Nie minęło pół roku i doszło do ślubu. Ojciec panny młodej nie wierząc szczęściu, że jego córka naprawdę kogoś znalazła tak się przejął, iż wykorkował na dwa dni przed uroczystością. Wesele oczywiście odbyło się, mało tego po kilku godzinach część weselników wznosiła toasty za zdrowie nieboszczyka i ja też tam byłem wódkę i miód piłem...

Nie będę opisywać co działo się później, bo to mało ciekawe i przeskoczę do okresu, kiedy Aleksander zmienił pracę na bardziej odpowiedzialną w dużym państwowym przedsiębiorstwie. Inne zarobki, inna odpowiedzialność, zupełnie inne możliwości

rozwinęły się przed nim. Przyszły czasy Solidarności i wtedy nasz bohater bardzo źle zainwestował swoje działania, gdyż zaczął udzielać się w nowych związkach myśląc, że to dla niego furtka do zaszczytów. Pierwszy raz typowy asekurant poszedł na całość i od razu „dostał po ryju”. Oczywiście SB wzięło naszego bohatera pod lupę, przejrzano jego pochodzenie, sprawdzono wszystkie kontakty.

Były gmach gestapo w Koninie, teraz siedziba Służby Bezpieczeństwa, 10 listopada 1981 roku, godzina 12:20, mały pokój na pierwszym piętrze, bodajże numer 145, a w nim przy wielkim z jasnego drewna biurku siedzi młody, może 30-letni mężczyzna. Kruczoczarne, krótko przystrzyżone włosy, duże odstające uszy i małe bure oczka oraz szary, średniej jakości garnitur – to w skrócie opis tego człowieka. Siedzi i czyta czyjeś akta. Widać duże znużenie na jego twarzy, ale niestety musi przestudiować tę lekturę czy chce czy nie, taka praca. Nagle ktoś zapukał.

– Proszę wejść! – krzyknął w kierunku wejścia. Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł nieduży, korpulentny mężczyzna w wieku może 35 lat. Mała łysinka z tyłu głowy, okrągła twarz, mały spiczasty nos i duże oczy pod wielkimi krzaczastymi brwiami w stylu Breżniewa.

– Siadajcie poruczniku! – gospodarz wskazał krzesło i cisnął z rozmachem teczkę na biurko.

– Może Wy macie coś ciekawego na tego Leszczyńskiego?
– spytał zrezygnowany.

– Nic, kompletnie nic!

– Cholera! – zaklął. – Każą nam coś z nim zrobić, ale tak naprawdę to on jest zupełnie niegroźny. Jedyne dużo gada, ale jak go postraszymy to zleje się w gacie i na tym zakończy swoją działalność.

– Postraszyć go? – podwładny spojrzał wyczekująco na szefa.

– Nie, nie teraz, poczekamy na inny moment i wtedy tupniemy nogą – kapitan zaśmiał się pod nosem.

– Ale on coraz bardziej zaczyna krzyczeć i ma coraz większy posłuch u pracowników!

– I bardzo dobrze – odparł wolno zamyślony przełożony – zostawi kompanów w momencie, kiedy będą go najbardziej potrzebować, tego mu nie zapomną. Niedługo zrobimy mu pranie mózgu.

– Czy aby na pewno dobrze robimy? – porucznik nie był zbyt przekonany.

– Dobrze, dobrze, tyle lat pracuję w tym fachu to znam ten typ ludzi – zwykle szczekające błazny, a jak tupniesz to ogon zawiną aż na brzuch ze strachu, przekonacie się.

W tym samym czasie Leszczyński szalał na zebraniu załogi. Stał na mównicy i unosząc się na palcach, kurczowo trzymając w dłoni mikrofon nawoływał kolegów do strajku.

– Koledzy! – krzyczał – Zawsze byłem przeciwko komunistom i już na studiach pierś w pierś, bark w bark stanęliśmy jako bracia akademicka przeciwko Socjalistycznemu Związkowi Studentów Polskich. Byliśmy w podziemiu i teraz możemy wyjść i pogonić wszystkie te zależne od ZSRR organizacje. Musimy walczyć o nasze prawa aż do osiągnięcia sukcesu!

Rzęsiste brawa nagrodziły wojowniczą wypowiedź.

– Leszczyński na dyrektora! – okrzyk kogoś z tłumu podchwycili inni i po chwili wszyscy zaczęli to skandować.

– Dziękuję, dziękuję – oblicze naszego bohatera promieniało radością. – Nie zawiodę Was moi kochani! Wygonimy komunę z naszego zakładu!

– Niech żyje Solidarność!!! Niech żyje Leszczyński! – okrzykom nie było końca.

No i 13 grudnia 1981 roku nastąpiła noc, wyjechały czołgi, armia wprowadziła stan wojenny. Internowano najważniejszych działaczy Solidarności, ale nie myślcie, że tą akcją objęto naszego bohatera. Ależ skądże, SB wiedziało, że to nie jest niebezpieczna postać.

W zakładzie zamiast dyrektora zaczął rządzić tak zwany komisarz wojskowy, a tak naprawdę to człowiek Służby Bezpieczeństwa. Pierwszą jego decyzją był zakaz wstępu na teren dla największych krzykaczy, których nie objęło internowanie. Aleksandra zatrzymano przy wejściu i nie wpuszczono do pracy. Kiedy zaczął protestować wezwano go do gabinetu dyrektora, gdzie przyjął go sam zarządca.

– Proszę usiąść – wskazał krzesło przy biurku i sam usiadł naprzeciwko.

– Nie rozumiem dlaczego mnie nie wpuszczono! – nasz bohater podniósł głos.

– Dlatego, że już nie pracujecie w tym przedsiębiorstwie, jesteście zwolnieni dyscyplinarnie! – wycedził przez zęby gospodarz.

– To bezprawie! Ja protestuję!

– Ha, ha, ha, protestuj sobie człowieku do woli – złowrogi śmiech zabrzmiał w gabinecie – i uważaj byśmy nie wcielili Was do wojska, a jak będziecie podjudzać ludzi to wsadzimy do kryminału, a tam jak dostaniecie się w ręce recydywy to się z Wami nieźle zabawią.

Leszczyński zbladł, przypuszczalnie zadziałała wyobraźnia i wyraźnie przysiadł.

Oficer widząc reakcję swojej ofiary postanowił go dobić.

Wyciągnął z szuflady jakiś papier i podał naszemu bohaterowi działaczowi.

– Co to jest? – Aleksandrowi głos zadrżał ze strachu.

– To jest dyscyplinarka – wolno wycedził oficer – i pamiętajcie, że jak usłyszycie, iż buntujecie ludzi to Was tak załatwimy, że nigdy już nie staniecie na nogi. Wasza teściowa ma ziemię pod miastem to zmiatajcie tam i nie pokazujcie się nigdy więcej ani tu, ani w okolicy. Grzebcie w ziemi i agitujcie dżdżownicę jeśli jakieś znajdziecie, a nie ludzi. Zrozumiano? – podniósł głos groźnie patrząc na Leszczyńskiego.

Tamtego tak wcisnęło w fotel, że prawie go nie było widać. Strach sparaliżował mu członki i język, tylko kiwnął na znak zrozumienia głową.

– A teraz wynocha! – esbek podniósł głos i wskazał ręką drzwi.
– Jeśli drugi raz spotkamy się, to będziecie biedni. Teraz zmiatajcie na wiochę świnie hodować – tylko je możecie agitować!

Aleksander wstał bojaźliwie i ze spuszczoną głową szybko ruszył do drzwi.

– Tylko nie trzaskać drzwiami – rzucił za nim komisarz.

Kiedy drzwi zamknęły się za Leszczyńskim, otworzyły się inne w rogu pokoju i pokazał się w nich znany już nam porucznik. Kiwał głową patrząc z podziwem na szefa.

– No i kto miał rację? – na twarzy majora zakwitł uśmiech zwycięzcy.

– Jestem zaskoczony, że poszło tak łatwo. Myślałem, że trzeba mu będzie pałą przejechać po łapach.

– Oj poruczniku, Wy lubicie stare metody. Teraz są inne czasy, teraz robi się to w rękawiczkach. Nie można robić z nich męczenników, bo to przynosi więcej szkód niż korzyści..

– Oj, wiem jedno – podwładny nie dawał się przekonać – jak odbiło się nerki, połamało kilka palców i wybiło parę zębów z przodu, to delikwent utrwalił sobie uległość wobec Władzy Ludowej. Teraz to wychodzą z komendy i od nowa nam brużdżą, znów bierzemy na przesłuchanie i znów wszystko od nowa.

– Może niektórzy – przyznał zwierzchnik – ale nie ten. Jestem gotów się założyć, że nie wychyli nosa ze wsi, a jeśli pomylę się, to pozwolę Wam go przetrzepać jak stary dywanik w waszej Ładzie.

– Dziękuję Towarzyszu Majorze!

Jeszcze tego samego dnia nasz bohater wyprowadził się w popłochu ze swojego mieszkania w mieście i wyniósł razem z rodziną na wieś, na rodzinne śmieci swojej żony. Major miał rację, Leszczyński ukrył się poza miastem i co ciekawe, byli koledzy z pracy patrzyli na niego trochę podejrzliwie. Wszystkich zastanawiało czemu SB nie internowała największego opozycjonisty w przedsiębiorstwie. Po kilku latach sprawa przyszła, a po jeszcze kilku upadł reżim komunistyczny. Wtedy nastał czas dla ta-

kich ludzi jak on. Zaczęli wychodzić z ukrycia jak dżdżownice po deszczu. Z prawdziwych działaczy podziemia zaczęło w nowej rzeczywistości uchodzić powietrze, potrafili żyć w innych czasach, nowe przyszło w sumie z zaskoczenia i wymagało przeskoczenia na inne tory, a to duża sztuka.

Nowe dotarło i do wsi Aleksandra. Oparł widły o ścianę obory, słomę z gumowców wyniósł na strych, zaś buty do piwnicy. Podpompował koła w rowerze, a następnie dosiadł go jak ogniściego rumaka i ostro popedałował do miasta. Wyruszył na spotkanie wolności i wielkiej kariery!

Naszego działacza przyjęto z otwartymi ramionami, ludzie „czyści” byli w cenie i łapano ich do partii jak i do urzędów. Nie minął tydzień, a Leszczyński z roweru przesiadł się do volkswagena i to od razu Passata. Założył piękny czarny garnitur, dostał wspaniałe biurko i laptopa. Zaczęto obwozić go po kraju, ponieważ trwała kampania wyborcza, a obecność wybitnego działacza Solidarności dodawała prestiżu kandydatom. Przypominało to trochę czasy, kiedy razem z obwoźnym cyrkiem, czy wesołym miasteczkiem pokazywano jakieś dziwolągi.

Po pół roku został dyrektorem w swojej byłej firmie, po tylu latach spełniło się marzenie załogi, bo przecież w 1981 roku wszyscy krzyczeli „Leszczyński na dyrektora!”.

Już po miesiącu, któregoś dnia sekretarka zaanonsowała jakiegoś biznesmena.

Kiedy otworzyły się drzwi, jego oczom ukazał się ku wielkiemu zdumieniu ... były komisarz, tak ten sam, który go kiedyś wyrzucił. Doszło mu latek, posiwiał, wyłysiał, pomarszczył się na twarzy, ale nic nie stracił na pewności siebie. Pewny, ironiczny uśmiech na twarzy, energiczny krok i elegancki w dobrym gatunku garnitur.

– Witam Pana Dyrektora! – zaczął już w wejściu. – Cieszę się, że znów się spotykamy, dobrze mieć przyjaciół na stanowiskach.

– Przyjaciół? – zdziwienie odmalowało się na twarzy naszego bohatera. – Chyba Pan żartuje, jak śmie się Pan tu pokazywać?

– Oj, proszę nie przesadzać, takie były czasy i Pan na moim miejscu też by tak postąpił. Mało tego, moi zwierzchnicy mieli do mnie pretensje, że nie internowałem pana lub, że chociaż nie odbiłem nerek.

– Dobra, dobra – warknął Aleksander – czego Pan chce ode mnie?

– Oj nic takiego – zaśmiał się były esbek. – Tylko chcę, by pan swoimi decyzjami doprowadził do upadku zakładu, bym mógł go później kupić za jakieś śmieszne pieniądze.

– Co, proszę? – Leszczyński wzburzony wstał z fotela. – Jak Pan śmie! Proszę się stąd wynosić, bo wezwę policję!

– Spokojnie, spokojnie – zaśmiał się przybyły. – W zamian nie opublikuję pańskiej teczki!

– Jakiej teczki? – oczy gospodarza zrobiły się wielkie jak spodki ze zdziwienia.

– No, teczki z SB – wolno wycodził esbek. – Zrobiliśmy piękną teczuszkę, mało tego, są piękne raporczki na kolegów, a na koniec pokwitowanka.

– Jakie pokwitowanka? – wydusił.

– No, jak to jakie? – były oficer rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko – Za pieniążki, które dostawał pan za kablowanie kolegów.

– Przecież nie kablowałem i nie brałem pieniędzy!!! – wykrzyknął zdumiony – Przecież pan o tym wie.

– I co z tego? Teczka jest teczką, a zresztą jeśli oświadczę, że pan kablował, to kto panu uwierzy? – sięgnął do dyplomacki, pogrzebał chwilę i wyciągnął szary skoroszyt, który następnie położył na biurku.

– To jest ksero! – wskazał na teczkę – proszę zapoznać się z dokumentami, a ja tu wrócę za dwa dni – wstał energicznie, odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu odprowadzany zdumionym wzrokiem naszego bohatera. Siedział, patrzył i nie wierzył temu co usłyszał przed chwilą. Wolno sięgnął po teczkę i otworzył ją. Zagłębił się w jej zawartość i zaskoczenie zaczęło przeobrażać się w przerażenie.

Minęły dwa dni, dwa koszmarne dni i dwie koszmarne noce. Leszczyński nie mógł znaleźć sobie miejsca ani w domu, ani też w pracy, nie potrafił skoncentrować się na niczym. Denerwowała go telewizja, żona i koledzy w pracy... myślał tylko o tej cholernej teczce z kosmosu, która mogła go zniszczyć, wdeptać w posadzkę.

Trzeciego dnia pojawił się w pracy bardzo wcześnie. Kupił w internecie jakieś urządzenie podsłuchowe i zamontował je pod biurkiem.

– Będę miał na niego haka – myślał podekscytowany i bardzo zdenerwowany co i raz spoglądał na zegarek.

Około 12 sekretarka zaanonsowała przybycie byłego oficera Służb Specjalnych.

Tak jak ostatnio wszedł pewnym krokiem, tak samo elegancki z szerokim uśmiechem na ustach.

– Witam Pana Dyrektora – zwrócił się do naszego bohatera.

– Oto moje propozycje – położył na biurku kilka zapisanych gestym drukiem kartek.

– Proszę usiąść – Aleksander wskazał fotel.

– Nie dzięki, bardzo się spieszę.

– Ależ chcę porozmawiać jeszcze o tej fałszywej teczce – Gospodarz na siłę chciał sprowokować rozmowę.

– Nie wiem o czym Pan mówi? – esbek uśmiechnął się ironicznie. – Ja jestem człowiekiem interesu, nie zajmuję się niczym poza tym.

– Ależ? – Leszczyński patrzył zdumiony. – Przecież podczas ostatniej wizyty wcisnął mi pan jakieś podrobione dokumenty.

– Ja coś wcisnąłem panu? – podniósł brwi udając zdziwienie. – Jeśli coś panu wcisnąłem to proszę zadzwonić na policję. Opowie im pan co to za dokumenty, a jeszcze lepiej jak zwoła pan dziennikarzy, bo oni lubią takie sensacyjki. Proszę, ja zaczekam.

– Nie zadzwonię – jęknął Aleksander.

– I bardzo dobrze, przyjdę za tydzień – były oficer wykręcił się na pięcie i szybko opuścił gabinet.

– Cholera, cholera, cholera – powtarzał nasz bohater i tłukł głową w blat biurka, a przestał dopiero wtedy, kiedy poczuł wąską strużkę krwi płynącą z rozbitego czoła.

Spojrzał w lusterko i ryknął do sekretarki – pani Bożenko, bandaże!

Tak oto Leszczyński, który nie współpracował z SB stał się tajnym współpracownikiem BSB czyli Byłej SB. Przechodząc z zakładu do zakładu rozkładał je na łopatki, by później mogły je kupić jakieś nie znane nikomu bezimienne firmy. To trwało dobrych kilka lat, ale nadszedł dzień, kiedy trzeba było z tym skończyć.

Spotkali się w jakiejś podrzędnej knajpie w centrum Warszawy, bodajże latem 2004 roku.

Oficer jak zwykle elegancki, ale i Leszczyński przez tyle lat grzania foteli na wysokich stanowiskach wyglądał kwitnąco. Konkretnie kwoty szły na ukryte konto najpierw w Szwajcarii, a kiedy prokuratorzy zaczęli interesować się tym pięknym krajem dolary zaczęły płynąć do banku na Kajmanach. Głupi Szwajcarzy przez swoje gadulstwo zaczęli tracić klientów.

Już nie było oporów podczas spotkań, ponieważ twarda waluta przełamała wszystkie lody i nasi znajomi już zupełnie zapomnieli o tej starej sfalszowanej teczce, od której wszystko się zaczęło.

Teraz usiedli naprzeciw siebie, zamówili po kieliszku bardzo dobrego koniaku i w milczeniu degustowali trunek. Milczenie przerwał były esbek.

– No Alex, koniec naszej współpracy, musimy odpuścić, ponieważ mogą coś zwężyć. Niechący weszliśmy niektórym na odciski i lepiej przeczekać.

– Ale co mam robić? – Leszczyński zaczął bać się samodzielności.

– Spokojnie – uspokajał oficer. – Mamy dla ciebie dobrą fuchę w jednej firmie. Tam poczekaasz na lepsze czasy i nikomu nie przyjdzie do głowy, by ciebie tam wytropić.

- Co to za firma?
- Instytut Pamięci Narodowej!
- Co???
- Tak, tak – będziesz szefem jednego z wydziałów, ciepła posada, stały dochód i jeszcze będziesz mógł sobie dorobić.
- Jak ? – zdumiony Leszczyński ledwo wydusił z siebie.
- To proste – zaśmiał się rozmówca naszego bohatera – będą do Ciebie przychodzić z różnych partii i będą prosić o informację, albo poproszą o podrzucenie kilku kartek do jakichś akt. Takie uprzejmości kosztują i to jest dobry biznes, może nawet lepszy od wykładania firm. Wykładanie ludzi na stanowiskach to dopiero interes, który może ustawić Ciebie i twoją rodzinę aż na kilka pokoleń.
- Co chcesz za to? – spytał Aleksander dobrze wiedząc, że nie ma nic za darmo.
- Dla mnie te uprzejmości będziesz robić za darmo i to wszystko – zaśmiał się i wychylił kielich jednym haustem.
- Ale przecież sprawdzą mnie i wyjdzie ta przeklęta teczka.
- Jaka teczka? – burknął esbek patrząc bezmyślnie w róg sali.
- No moja – syknął Leszczyński, do którego zaczęła powoli docierać prawda o jego teczce.
- Nie ma teczki, to był blef – zaśmiał się oficer. – Nabrałeś się na prosty chwyt, a to co Ci dałem to teczka innego gościa. Moi ludzie zmienili nazwisko i kilka drobnych szczegółów.
- Ale z Ciebie drań – wycodził nasz bohater i groźnie uniósł się nad stolikiem.
- Usiądź lepiej – esbek spokojnie ręką pokazał krzesło.
- Mogłeś się nie zgodzić, ale po pierwszych oporach, aż skręcałeś się za „sałatą”. Zresztą kim byś był gdyby nie my? Nikim!
- Mogłem Ciebie internować, mogłem pałami obić tak jak namawiał mnie mój podwładny, mogłem różne brzydkie rzeczy, ale wolałem żebyśmy wszyscy byli zadowoleni. Ty masz kupę szmalu i my dzięki Tobie też nie jesteśmy biedni. Masz czystą kartotekę jak niemowlaczek i masz dobrą pracę. Czego jeszcze chcesz?
- spojrział zdziwionym wzrokiem.

Leszczyński siedział jak zdętwiały i właściwie nic nie miał do powiedzenia. Wszystko to, to prawda i nie miał „dział do wytoczenia” na esbeka.

– Mogłem być uczciwy – burknął.

– Przecież mogłeś, ale wolałeś robić ze mną interesy, teczka to tylko pretekst tłumaczący przed sobą samym konkretne zachowania. W Twoim przypadku teczka Ci pomogła, a nie zaszkodziła – oficer wypił duszkiem następny kieliszek koniaku.

– Dobry, naprawdę dobry pretekst – powiedział sam do siebie.

– Czyli mogę zerwać nasze interesy? – Aleksander wyraźnie ożywił się. – Nie ma teczki, nie ma haka!

– Niezupełnie, przewidzieliśmy to i mamy nagrane nasze rozmowy na temat doprowadzania do upadłości pewnych zakładów, a oprócz tego można skończyć jak Papała z kulką w głowie.

– Grozisz mi? – silne wzburzenie zaczęło ogarniać naszego bohatera, nabrzmiały mu żyły na czole jakby miały zaraz popękać. – Śmiesz mi grozić?

– Śmiem! – były funkcjonariusz Tajnych Służb zaśmiał się zło-wrogo. – Dotąd będziesz dla nas pracował, aż powiemy koniec. Nie ma innej opcji. Skończ ten temat i nie psuj wszystkiego – dodał pojednawczo.

Niedużo to pomogło, posiedzieli jeszcze chwilę obydwa nie-źle nabuzowani na siebie. Esbek odszedł pierwszy, a Leszczyński dopiero jak machnął sobie jeszcze trzy lampki koniaku.

Nie minął miesiąc i nasz bohater został pracownikiem IPN. Praca w tej Instytucji była jedną z nudniejszych jaką wykonywał, ale prestiż i profity były wszystko na głowę. Nigdy nie myślał, że istnieje Urząd, który w założeniu jest jedną wielką cyganką. Żongluje teczkami jak kartami i przy tym tak jak i tamta nieźle mota. Zawsze wyciągnie to co chce wyciągnąć, wszystko według jakiegoś dziwnego klucza. Zawsze uderza w tego, który jest komuś niewygodny, co za dziwny zbieg okoliczności. Te aspekty jednak mało obchodziły Aleksandra, już uodpornił się na sentymenty,

interesowały go tylko pieniądze. Raz na jakiś czas pomieszał w różnych teczkach, nieraz coś wyjął, nieraz dołożył, a innym razem wykonał ciekawą fotkę. Drobnie sprawki, ale duże dochody, konto na Kajmanach puchło i perspektywa spokojnego życia w tropikach zaczęła się mocno przybliżać. Starał się jak mógł i nawet umożliwił jednemu dziennikarzowi wyniesienie pewnej listy, co spowodowało gigantyczne zawirowanie w całym kraju. Lista lipna, niedokładna, ale takie było zamówienie, więc zrealizował je bardzo sumiennie.

Widział tłumy ludzi niecierpliwie czekających na wyroki rozsądzające o ich życiu i nieraz było mu ich żal. Dobrze wiedział co warte są te dokumenty i jak zmienia się ich zawartość. Nawet odebranie dokumentu zaświadczonego o niewinności nie oznaczało, że za pół roku, czy rok nie wypłyną nowe, zupełnie sprzeczne z poprzednimi dokumenty i wszystko zacznie się od nowa. Nieraz przypominały mu się ulubione słowa esbeka „Bójcie się gadziny, nie znacie dnia ani godziny”.

EPILOG

I oto nasza ostatnia historia, ale tej nikt nie może kojarzyć z nikim, to będzie miało miejsce w Polsce w roku 2026. Dlaczego ten rok? Jest bardzo prosta odpowiedź na to pytanie. Wtedy wszyscy, którzy mieli coś wspólnego ze słynnymi teczkami nie będą żyć, albo będą już w wieku powiedzmy zlewającym wszystko, dosłownie i w przenośni.

Mamy nowe wybory do parlamentu i największa partia opozycyjna żąda otworzenia ... teczek. Tak moi drodzy, ten temat odrasta jak łeb hydry. Według polityków należy przyrzeć się przeszłości rodziców i dziadków kandydatów na posłów. Według największych autorytetów należy wyeliminować wszystkich, u których w korzeniach znaleziono zgniliznę. Kraj należy oczyścić z wrogiego elementu, bo wszystkie niepowodzenia są przez Żydów i wnuków tajnych współpracowników SB. Tylko wtedy będziemy mogli stworzyć siódmą Rzeczypospolitą, gdyż Prawdziwi Polacy są gnębieni przez obce nacje i pomiot komuchów.

Na tym kończy się nasza historia, a zainteresowanych dalszym ciągiem zapraszam na pierwszą stronę naszej opowieści. I tak można czytać do znudzenia...

Drogi czytelniku, chciałbym złożyć oświadczenie, które może mieć wpływ na odbiór poniższej książki. Otóż zakrwawiony rękopis znalazłem w swojej skrzynce pocztowej dwa tygodnie temu. Do powieści był dołączony odręczny list, który poniżej cytuję.

Drogi Panie!

W Panu jedyny ratunek. Napisałem tę książkę pół roku temu i wysłałem do kilku znajomych do oceny. Po tygodniu zaczął się horror. Po kolei w dziwnych okolicznościach zginęli wszyscy, którzy otrzymali ode mnie maszynopis, a później rozpoczęło się polowanie na mnie i moich bliskich. Najpierw rozjechano moją teściową, w tym jednak nie widziałem jakiegoś fatum, ale zabrano się za wszystkich innych z mojego otoczenia. Kiedy zostałem sam, osaczono mnie ze wszystkich stron. Najpierw wyleciał w powietrze mój samochód – na szczęście beze mnie, później do sklepu, w którym akurat robiłem zakupy wjechała ciężarówka. Dwa razy strzelano do mnie na ulicy, raz spadła winda, kiedy do niej wsiadałem (o mało nie urwało mi nogi). Ukrywam się, ale nie wiem jak długo uda mi się zmylić pogoń. Przypomina mi się film pod tytułem „Raport Pelikana”, ale to przecież niemożliwe, by fikcja stała się życiem. Piszę ten list siedząc w kanałach pod Dworcem Centralnym, ale już dziś muszę dla bezpieczeństwa zmienić lokum. Ciągle czuję ich oddech i dlatego wiedząc, że to już koniec piszę ten list.. Proszę coś zrobić z tym rękopisem, niech nasza śmierć nie pójdzie na marne. Przepraszam za krew na papierze, ale po ostatnim ostrzale pozostała mi kula w nodze i coś się paprze. Strasznie śmierdzi, to chyba wdała się gangrena. Mam kopertę i znaczki i jeszcze tylko tyle sił, by dotrzeć do skrzynki pocztowej.

Powodzenia.

Na tym kończy się ten dziwny list, nie było żadnego podpisu. Nie wiem kim był autor, ani kogo opisał. Skoro mi jednak zaufał, to staram się go nie zawieść.

Autor

SPIS TREŚCI

Syn prominenta	7
Historia Pietrzaka	35
Historia Paciora	57
Lekarz	81
Podsumowanie, czyli piąta historia.....	103
Epilog	117

